

| S | M | T | W | T | F | S |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 NEW YEAR'S DAY | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 |
| 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 |
| 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 |
| 22 | 23 | 24 | 25 | 26 | 27 | 28 |
| 29 | 30 | 31 | LAST QUARTER 4th | NEW MOON 12th | FIRST QUARTER 20th | FULL MOON 27th |

Memoran


BLUE DYE

OPŁATA POCZTOWA RYCZAŁTEM.

# KUPIEC Z SZANGHAJU

Tom I.

brak

na kolejny sygn

NORBERT JACQUES

# KUPIEC Z SZANGHAJU

Tom I.





WARSZAWA — 1927

NAKŁADEM TOW. WYDAWNICZEGO „RÓJ“

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY ST. B.
ODBITO 10.000 EGZEMPLARZY
W ZAKŁ. DRUKARSKICH
F. WYSZYŃSKI I S-KA
W MARCU
1927.





# I

W zachodniej dzielnicy międzynarodowej kolonji Szanghaju znajdowała się pośród rozległego parku willa, znana Chińczykom i Europejczykom pod nazwą „wieży głodu“. Był to dom z czerwonej cegły, ze smukłą, strzelistą i wysoką wieżą, własność państwa Wilms. Pan zmarł niedawno, zaś pani Wilms, wdowa, głośna z niezwykłego trybu życia, odsunęła się po śmierci małżonka od stosunków towarzyskich. Byli to ludzie bogaci.

Pewnego niedzielnego popołudnia pani Wilms przyjmowała kupca Neya, który zwrócił się do niej listownie.

Ney siedział na wyplatanem krześle w pokoju, który miał wygląd jadalni. Naprzeciw niego usiadła pani Wilms, osoba o nadmiernie smukłym, wtłoczonym jakby w obcisłą, ciemną suknię kształcie, z obliczem, któremu nie szczędzono pudru i szminki, z utlenionemi włosami, silnie zbudowana. Miała zielone oczy i spoglądała na Neya wzrokiem palącym, z niesamowitemi jakiemiś błyskami, które sprzeczne były z postarzałym wyglądem jej oblicza.

— Nigdy nie widziałam pana — mówiła. — Jest pan zapewne od niedawna w Szanghaju. Byłabym pana spotkała.

— Trochę dłużej niż pół roku — odpowiedział Ney.

Woń zwiędłych róż wionęła przez pokój. Ney bronił się przed nią, a jednak ulegał ustawicznemu podrażnieniu nerwów i wdychał ten zapach.

— Pisałem do pani, pani Wilms...

— Tak, czytałam list pański z dużem zainteresowaniem. Planuje pan rzeczy potężne. Pragnie pan odegrać rolę szczupaka w karpiej sadzawce Szanghaju. To mi się podoba!

— Czy mam pani wyłożyć swe projekty? — spytał rzeczowo Ney.

— A pan podoba mi się również—ciągnęła dalej pani Wilms i z spojrzeń jej sypnęły jakby żarzące węgle. —Słucham pana z całą uwagą. Czy przebywał pan poprzednio na Sumatrze?

— Tak, byłem kierownikiem skromnej plantacji tytoniu. Została ona zakupiona przez większe konsorcjum i musiałbym podporządkować się administratorowi, dla którego nie żywiłem szacunku. Być drugim, to w każdym razie...

— Jest pan mężczyzną! Poznałam to zaraz! przerwała żywo pani Wilms.

— Czy pan wie, iż pośród tutejszych Europejczyków jest zaledwie niewielu mężczyzn? Byłam niedawno na Syberji. O tak, tam!

Neyowi przez jakieś dziwne połączenie skojarzyła się nazwa domu „wieża głodu“ z wyobrażeniem, iż właścicielka jego jest opętana nienasyconym głodem... czego?... mężczyzn?... i że stąd powstała nazwa.

Uczuł w nosie spotęgowany jeszcze zapach zwiędłych róż. Co tu tak pachnie? Zapytywał sam siebie. Ona? O nie! Co to może być? Nie by to zgoła woń kwiatów. Było w tem coś innego, mocniejszego. Ulotna, nieuchwytna słodycz, paląca wprost śluzówkę.

Wdychał ją głośno nosem.

— No i cóż? pytała wyczekująco pani Wilms.

Ney, pragnąc niecierpliwie przystąpić do rzeczy, nie zważał na to pytanie.

— Rozwój naszych interesów— mówił—jest tamowany przez system, sprawiający, że swoje towary importowane z Europy i Ameryki możemy oddawać na rynek, jak również brać z rynku towar na eksport, tylko przez chińskich pośredników, compradore. To urządzenie wynikło z nieufności Chińczyków do nas. My, Europejczycy, wpadliśmy do tego kraju z żądzą rabunku, zamiast kierować się uczciwemi intencjami handlowemi. Unieszkodliwili to Chińczycy, przeszkadzając nam stykać się bezpośrednio z kupcami i odbiorcami. Mieli rację, czyniąc to. Lecz stworzyło to w handlu nienaturalne ograniczenia, co przeszkadza rozwojowi interesów na szerszą skalę. Pragnąłbym wprowadzić przeto nowy rodzaj handlowych stosunków, oparty na wzajemnem zaufaniu.“



— Czy wybrał się pan do Szanghaju z ideałami?— zapytała pani Wilms szyderczo.

—Nie — odrzekł Ney dumnie lecz z mocą.—Chciałbym założyć wielkie konsorcjum, w którem wzięliby udział Chińczycy narówni z Europejczykami. Chińczycy to świetni kupcy. My zaś Europejczycy posiadamy jako równoważnik środki techniczne, jakiemi Chińczycy nie rozporządzają.

—Podziwiam pana!— rzekła pani Wilms, i znów padły z jej palących, zielonych oczu spojrzenia niby węgle.

Nagle Ney zauważył, że dotyka go jej kolano. Cofnął się zlekka. Dotknięcie było widocznie przypadkowe,

— Czy pan się mnie boi? zaśmiała się pani

Wilms. Lecz nie był to śmiech. Było to wzgardliwa pokusa.

Tam i sam przechodzili chińscy służący i służące. Nie szli. Przemykali się. Słychać było także opadające w ramach drzwi. Zresztą i drzwi zdawało się spływały, jak w wodzie.., Wyglądało to, jakby dom był pełen życia, pozbawionego szmeru; wymykało się ono z pola widzenia i słyszenia. Wrażenie to miało dla Neya coś niepokojącego. Z niepokojem duszy połączyła się przykrość fizyczna. Ney nie zwracał chwilowo na to uwagi.

Jakaś tajemnica jest w tym domu! mówiło coś w duszy gościa... Czy ma to związek z nazwą „wieży głodu"? Byłoby śmiesznie wierzyć, iż przezwisko powstało od skąpych przyjęć. Byłoby to głupie. Tajemniczość wiała z przestrzeni i z nazwy.

Ney rzucił wzrokiem dokoła. Ślizgał się on po gładkich ścianach, na których wisiały angielskie sztychy aż oparł się na drzwiach, ściśle zasłoniętych grubą kotarą.

Oczy pani Wilms towarzyszyły spojrzeniom Neya. Ujrzawszy, że zatrzymał wzrok na drzwiach, zapytała głosem ostrym, którego nagłość złamała znienacka tajemne szepty i szmery: „Na co pan patrzy?" Podała się naprzód. Obydwa jej kolana gwałtownie przycisnęły się do Neya.

— Czego pan żąda odemnie? — zapytała powtórnie.

Wtem uderzyła Neya tak silna fala zapachu zwiędłych róż, że aż musiał się przed nią bronić, mówia[illegible] na usprawiedliwienie: „Pachnie tak drażniąco..."

— Każdy dom posiada swój zapach! — od[illegible] pani Wilms, przybierając naraz gwałtown[illegible]

ton. — Niech pana to nie niepokoi, proszę mówić dalej.

Opowiadano Neyowi o wielkiem bogactwie tej wdowy i jej przedsiębiorczości. Umyślił sobie obydwie te rzeczy zużytkować dla swych planów. Powiedział jej o tem.

— Chcę założyć europejsko-chińskie towarzystwo handlowe i rzucić w nie tyle chińskich i europejskich pieniędzy, aby Chińczycy przez sam ogrom wkładu, który zaangażuję, a wraz z tem siebie i swych współpracowników, musieli uwierzyć w moją dobrą wolę. Ażeby stracili nieufność i pracowali ze mną narówni nad sprawą. Dla lepszego wyzyskania bogactw ziemnych kraju trzeba stworzyć szczególnie uregulowane stosunki, przedewszystkiem założyć fabryki, pracujące maszynami o najdoskonalszej konstrukcji europejskiej, z produktów zaś chińskich usunąć to, czego Europie nie potrzeba. Zaoszczędzimy na zbytecznych przesyłkach, pracy przy pakowaniu i będziemy mogli wyzyskać taniość chińskich sił roboczych. Potrzeba mi na to pieniędzy. A także pieniędzy pani, szanowna pani...

— Tylko moich pieniędzy? — zapytała z pełną znaczenia gotowością. — Czy pieniądz jest czemś najwyższem, czego można żądać od kobiety?

Przywierała swemi kolanami do niego. Teraz zrozumiał ją dokładnie. Niesamowite powiewy przyciszonych szmerów domu owionęły go znowu. Bronił się przed tem. Mówił ostrożnie, żartobliwie: — Czy miałbym odwagę żądać czegoś innego od pani, pa-[illegible] Wilms?

[illegible] Niech pan nie igra z ogniem,— odparła i przy-[illegible] oczy, jak gdyby pod naporem fali słodkich [illegible]ści. Potem zapytała: — Czy nic lepszego

nie może pan żądać odemnie, prócz moich pieniędzy?

Ney zaś ciągle jeszcze, osłaniając się żartem: — Cóż więcej ponad pieniądze mogłaby mi pani oddać do dyspozycji dla założenia konsorcjum? Chętnie zażądałbym tego, gdyby było to w interesie mych planów. Jestem kupcem!

— Kupcem!—odparła.—Pan jest najdoskonalszym mężczyzną ze wszystkich mężczyzn w Szanghaju! Czyżby odwiedziny jego miały przeistoczyć się w awanturkę miłosną ze starzejąca się, przesadną kobietą? Lub też plany rozbić się, wskutek jego powściągliwości? Wahał się co robić.

— A więc mylę się? — ciągnęła. — Więc to nie krew, lecz rozpuszczone złoto, płynie w pańskich żyłach?

Zajrzał jej w twarz, na której toczyła się walka ze starością. Chwyciła go pasja.

— Pieniądz tam gdzie należy a krew tam, gdzie krew należy! — rzekł ze złością.

— Kobiecie należy się krew!

— Jestem kupcem! Sprawą kupca jest pieniądz.

Oczy pani Wilms błyszczały jak zielona, płonąca siarka. Pod pudrem wystąpił rumieniec. Położyła rękę na jego kolanie. Połączył się z tem ów obrzydliwy zapach, w którym więdnięcie i gnicie spływało się w drażniącą słodkość, otoczyła znów go zatamowana fala przyciszonych szmerów. Chiński służący otworzył drzwi, jakgdyby były z powietrza, wszedł niby bezszelestny słup wody.

— Precz! — zawołała do niego pani Wilms.

Chińczyk zamknął drzwi w ten sam sposób, bez szmeru jak przyszedł; zdawało się, jakby ręką ducha zmieniony został w powietrze. Niby groźbę dla

siebie. Ney słyszał ciągle okrzyk z ust pani Wilms, drgający w powietrzu.

Co się dzieje w tym domu? pytał się Ney znowu. Naraz zauważył, że obie jej ręce leżą na jego kulanach.

— Proszę mi wybaczyć, rzekł zdecydowanie, odsuwając ją, nie przybyłem tu dla przeżycia awanturki.

Chciał powstać i oddalić się.

— Niech pan zostanie... jeszcze tylko chwilę! — błagała go całkiem zmienionym głosem. — Mogę sobie wyobrazić, że ma pan kobiet tyle, ile pan chce. Jest pan młody i do tego mężczyzna i ma pan barki i ramiona!

Ney przeciął krótko: —Zapomocą tego nie mogę urzeczywistnić swych planów! Przyszedłem tu, aby pani wyłożyć projekty, do których realizacji potrzeba mi pieniędzy i spróbować zainteresować panią niemi.

— Potrzebuję miłości!—rzekła pani Wilms. Czyhająco stała przed nim. Oczy jej gorzały, a ręce uniosła cokolwiek, niby do ataku.

— Nie mogę pani tego ofiarować, szanowna pani — odparł Ney władczo, pełen złości na te natarczywe ręce i oczy. Wówczas pękło panowanie kobiety nad sobą. Padła w krzesło i załkała drewnianymi twardemi dźwiękami.

Po chwili podniosła oczy bez śladu łez, wstała i rzekła: — Proszę pójść ze mną! Pokażę panu pieniądze, których pan pragnie.

Podeszła do zasłoniętych drzwi. Gniewnym chwytem zerwała dywan, wiszący na nich, otworzyła je kluczem, wyjętym z kieszeni i wprowadziła Neya do całkiem ciemnego pokoju. Gdy Ney wszedł zapaliła górne światło.

— Oto — rzekła i wskazała trupio białą ręką na środek pokoju.

Stała tam na krzesłach trumna. Bez wzdragania kobieta zbliżyła się do niej. Członki jej trzepotały wokół ciała pod wpływem szaleństwa, niby dzikie ptaki. Zapach zmarłych róż stał się duszący. Ręce kobiety stuknęły w wieko trumny i naraz wieko znalazło się na ziemi, a z trumny wyjrzało, oświetlone jaskrawo i groźnie przez blask świecy, jakieś oblicze. Była to twarz mężczyzny o pełnych policzkach, kredowo zielona, popstrzona ciemnemi smugami. Odór stał się dziki i ostry, później zaś nagle odrażająco słodki i wżarł się, jak gnijące. robactwo, w śluzówkę Neya. Kobieta krzyczała „On ma pieniądze. Pogrzebał je w swych wnętrznościach... on! Dopiero gdy zgnije do reszty może pan je posiąść... lub niech pan je z niego wygrzebie! On...“ Zatchnęła się. Ręce jej latały; porwała ze stołu coś.. wazon... i cisnęła go w trumnę. Skorupy rozprysnęły się o drewniane ściany trumny i obsypały trupa. Zwiędłe gałązki pokrywały napół oblicze zmarłego. Kobieta zesłabła i padła na ziemię. To była tajemnica „wieży głodu“...

Gnijący trup małżonka w salonie! Cóż to za kobieta! Zbrodniarka czy bohaterka? Czy pragnęła współczucia czy walki? Czy starczyło jej męstwa na stawienie czoła zbrodni, tajemnicy... czy też co innego? Ney uczuł, że coś go do niej pociąga. Pragnął wycofać się z tej całej historji, z uczucia jakiegoś wspólnictwa i schylił się szybko po wieko. Było ciężkie jak z żelaza. Musiał wytężyć wszystkie siły, aby je podnieść i nałożyć na trumnę.

W chwili gdy skończył tę pracę, poczuł na swem ramieniu ciężką rękę. Odwrócił się. Stał przed

nim wielki mężczyzna z dziką brodą, która musiała być kiedyć jasna, a teraz miała wygląd szary. Wielkie błękitne, jak woda, oczy patrzyły ze śmiechem, ze śmiechem, wzbudzającym przerażenie. Łagodny głos wydobył się z brody i przemówił po niemiecku: „Czy widział pan? Niech pan zostawi otwarte! Gdy byłem za czasów Tszangsza w wyższej szkole pod Jo Lo San ukochanym uczuciem Kung - Fu - Tsego, nauczyłem się wiedzy o uroczym przepychu śmierci, która nie jest wcale śmiercią, ale radosnem zadośćuczynieniem każdego życia. Osiągnąłem wreszcie to, o co walczyłem przez lata całe: ona mnie kocha!"

— Kto? zapytał Ney bezdźwięcznie, ogarnięty niesamowitością sytuacji. — Pani Wilms?

— Kuan - Jin chińska Matka Boża, wyszeptał mężczyzna z brodą, skłoniwszy się z błogim uśmiechem. Skryła się w trumnie, odkąd wie, że mieszkam tutaj, a nocą otwiera mi. Czyż nie zauważył pan żaru pożądania na jej obliczu z porcelany, o połysku kwiatów lotosu?

Rozprostował się uroczyście i dodał wielkim głosem, takim tonem, jakgdyby odsłaniała się ostateczna tajemnica: Jestem profesor Dang z Jeny! Potem odszedł, kłaniając się nisko niezliczoną ilość razy na wzór chiński, potrząsając rękami, z dziwnym, zaciętym uśmiechem na twarzy. Dopiero teraz Ney zauważył, że Europejczyk był ubrany w chińskie szaty.

Człowiek ten zjawił się i zniknął jak widmo. Tajemnica rosła. Pani Wilms leżała bez ruchu na ziemi. Ney podniósł ją i przeniósł napowrót do bocznego pokoju. Złożył ją w fotelu klubowym, zamknął drzwi, zawiesił dywan z powrotem na nich gorący jeszcze od uczucia wspólnego przeżycia,

odsłaniającej się tajemnicy porwał się do fotelu, w którym leżała. Bystro spojrzał na nią. Otworzyła oczy, które stały się znowu matowe. Puder i szminka łuszczyły się między zaczynającemi się formować zmarszczkami na twarzy. Szyja była cienka i wychudzona niby obskubana szyja kurza, zdradzała pierwsze ślady zaniku młodzieńczości ciała. Neya przeniknęło nawskroś przerażenie.

— Pani jest chora, pani Wilms! — rzekł i bronił się sam przed sobą. — Pójdę. Zapomnę o tem! Może pani mi wierzyć, że zapomnę o tem.

Nie mógł się zdobyć na podanie jej ręki. Skłonił się. Wówczas rzekła cicho, a dzwięk jej mowy, ledwie że przerastał stłumione szmery, napełniające ów cichy dom: „któż odpowiada za swoją skórę i za swe serce?“ I tak pozostała, postarzała naraz gwałtownie, walcząc z porywem wiekuistym krwi, która pod więdnącym naskórkiem tętniła w żyłach spóźnionym porywem kobiecej namiętności.

---

II

Ney wsiadł do rikszy.

Kulis zapytał: „Dokąd, panie"?

— Jazda!—krzyknął Ney wściekły.

Chińczyk popędził.

Po chwili Ney zawołał: „Country Club!"

Było to w pobliżu. Znajdzie się tam wśród ludz i Pośród ludzi, których zna i których nie zna. Wielu ludzi, a z nikim nie wiążą go przeżycia ani krew. Mili lub obojętni cudzoziemcy. Mógł z nimi gawędzić, pić, wrócić do dawnego spokoju i równowagi. Czyby nie zagrać w pokera? Byłoby to najwłaściwsze. Zapomnieć o przeżytem wśród trafu gry w karty, zagłuszyć pamięć o tem, zapomocą rozsądku i obserwacji otoczenia!

Nie, nie to go tak wzburzyło, iż tam w jakimś salonie, zamiast w grobie, leżał trup rozkładający się. Była to sprawa pani Wilms. Nie była to pierwsza zbrodnia i pierwsze zdarzenie zachowane w tajemnicy w jego życiu. Ale to, że przez kilka chwil wobec straszliwie odsłaniającej się tajemnicy, stracił głowę dla tej więdnące[illegible] kobiety... Jak się to stać mogło? Czyż możliw[illegible] st sytuacja, w której można stracić panowani[illegible] ad sobą i uczuciem [illegible]em? Gdybyż to był[illegible]ć, gorące i burzliwe, [illegible] za[illegible]yraźne pożądanie oparcia się o kobietę... do- i g[illegible] Ale nie gubić się w niepojętem, które na-

raz otwarło się między nim a panią Wilms, niby szczelina pełna mgły i duchów.

— Pędź szybciej!— krzyknął na kulisa. „Prędzej! Dostaniesz pół dolara!“ Chińczyk popędził tak, że gołe pięty biły o suchą ziemię jak drewniane młoty. Spędzał przechodniów wołając między innemi: „Dso! Dso!“, w czem wibrowała radosna nadzieja na temat obiecanego pół dolara.

Na jakiemś skrzyżowaniu ulic zderzył się w swym ślepym rozpędzie z inną rikszą. Wielki, bengalski policjant, stojący tam na posterunku, przybiegł na swych bocianich nogach i zaczął wymłacać kulisa pałką.

— Zostaw go, policman, to moja wina! zawołał Ney niecierpliwie, z przymieszką współczucia.

Chińczyk umknął bez słowa z rikszą z pod laski policjanta, przyśpiewując znowu do taktu piosenkę pośpiechu, gorliwości i zajadłej pracy. W kilka minut Ney był przy Country Clubie. Zapadał już zmierzch. Dał kulisowi obiecane pół dolara i wszedł do domu.

Nie wstąpił na schody, lecz okrążał budynek. Chciał zajrzeć do wnętrz a sali, czy niema tam znajomych, aby zawczasu móc wybrać, do kogo podejść. Nastąpił szybki zmierzch.

Naraz wyszedł ktoś z krzaków, lecz nie podszedł wprost, ale krocząc równolegle. zbliżał się zwolna szybko ku niemu.

— Tuanie!—rzekł jakiś głos.

Ogarnięty niecierpliwością znalezienia znajomyc porwany całkowicie przez skrytą w żyłach swyr i wzrastającą gorączkę, nie słuchał wcale.

Głos odezwał się przy nim natarczywiej! „Tuani byłeś u misie w wieży głodu!“. Wówczas Ney sta nął, trochę przerażony. Była to Mela, jego znala

ska służebna, Dojrzał, jak skłoniła się nisko przed nim. Powtórzyła swe słowa.

— Co to ma znaczyć?—zapytał więcej zdziwiony niż surowy.

— Misie z wieży głodu jest pożeraczką mężczyzn, Tuanie!

Opanowując gniew swój żartobliwym zwrotem odrzekł: „Ale mnie nie pożarła, jak widzisz!"

Lecz potem opanowało go niezadowolenie, że śledziła go znowu i strzegła, zawołał więc do niej władczo: „Zabroniłem ci, chodzić za sobą! Idź do domu!"

Z temi słowy odwrócił się i odszedł szybko, bez oglądania się. Drżało mu coś w skroniach. Odczuwał lekkie osłabienie w nogach. Czy ma wejść, czy też lepiej jechać do domu i położyć się?

Nigdy nie obchodziły go kobiety mniej, niż dzisiaj, gdy był całkowicie opanowany przez dążenie do swego celu. Dlaczego zdarzyło się to właśnie dzisiaj? Była to jakby złośliwość losu. Czując, że musi ją zwalczyć, zdecydował się z miejsca wejść do hali.

Gdy stanął na platformie, ujrzał, że w hali tańczono. Stanął w otwartych drzwiach i przyglądał się. Chwilkę tak stał, z oczami wlepionemi w tańczący korowód, z obrazem tego w duszy, na co stracił ostatnie godziny popołudnia. Naraz zauwa-ł, że jasno blond dziewczęca główka o wolno bu-jących lokach, które w sztucznem świetle wyglą-y jak z zielonawego złota, przesuwając się obok go, nagle zatrzymała się kilka kroków po za i spojrzała na niego prawie z przerażeniem... em oderwała się od tancerza i przewijała się rcie z niecierpliwą energją pośród innych tań-ących par ku drzwiom. Czy do niego? Jeszcze

jedna kobieta! Pech! Pech! Chciał z rozpaczy i złości wymknąć się. Mogła to być tylko omyłka. I wówczas poznał dziewczynę.

Wołała do niego: „Niko Ney!“

— Lilit, pani tu w Szanghaju?

— A pan także w Szanghaju?

— Tak, osiedliłem się tutaj.

— Chciał pan przecież jechać do Hankau, mówił mi pan o tem, wówczas gdyśmy jechali do Hong-Kong.

— Gdy poznałem Szanghaj, wydał mi się odpowiedniejszy dla mych planów. Jest to ostatnia czujka środkowych Chin. Hankau to pośrednik.

— Proszę ze mną, usiądziemy. Opowie mi pan.

— A pani również, — rzekł Ney serdecznie.

Wyszukali sobie kącik skryty przed oczami gości w głębi domu.

Neyowi zdawało się, jakby przy spotkaniu tego dziewczęcia, cała gorączka zebrana w nim wzrosła do ogromu burzliwej, ale dobroczynnej fali. Zniknęło osłabienie nóg. Dusza jego zdawała się wzlatać, a przytem kołysana wyobraźnia i myśli doznały jakby zapłodnienia. Pieniły się, śpiewały. Tak, to była febra. Wiedział o tem. Zarodki malarji, które posiała w krwi jego Sumatra, zaczęły taniec w żyłach, tłoczyły się w ataku, zwolna ogarniając go błogością swego żaru.

Czuł jak żar ten pęka niby balon, a wnętrze tego balonu stanowiło jakieś tajemnicze ciepło. Przykro przewalało się ono przez serce i ponosiło swą bezpośrednią szczęśliwością całą istotę jego ku dziewczynie. Ze szczęsną radością serca i zmysłów przypominał sobie tych kilka dni, spędzonych z Lil[illegible] na parowcu, między Singapore a Hong-Kon[illegible] a później dni przebyte w śród obcego towarzyst[illegible]

w Hong-Kong, Makao i Kantonie. Obcość środowiska sprawiła, iż czuli się wyodrębnieni ze swą pozbawioną pragnień, łagodną przyjaźnią, żywioną dla siebie obopólnie. Towarzysze znaczyli dla nich tyle co las dla samotnie kroczącej po nim pary. Nietylko nie przeszkadzali im, lecz bardziej jeszcze odgraniczali od świata.

Ney nigdy przedtem nie żywił dla kobiety uczuć, któreby ograniczały się tak szlachetnie tylko do zwykłego obcowania.

Podczas rozłąki myślał wprawdzie od czasu do czasu o Lilit. Ale jak o czemś niepowrotnem, co leży pogrzebane w chłopięctwie i tak samo nie da się ożywić, jak on dorosły mężczyzna nie mógłby zostać napowrót chłopcem. Teraz, gdy spotkał dziewczynę tak niespodziewanie, ogarnęło go pragnienie podjęcia znów dawnego stosunku gorącej przyjaźni bez przejść i przygotowań. Gnany wzrastającym niepokojem swej rozpalonej febrą krwi, zaczął bez wstępu opowiadać, z rozlewnością wywołaną febrą, swoje przeżycie popołudniowe. Chciał okazać swą duszę Lilit bez hamulców i namysłu. Opowiadał pośpiesznie.

Lilit słuchała. Początkowo trochę zdumiona obcesowością jego zwierzeń. Lecz wkrótce zrozumiała i serce jej popłynęło ku niemu gorącem tętnem. Zdawało mu się, jakby wieczór ten był bezpośredniem nawiązaniem do tych czasów na południu, jakby zatarło się pół roku przerwy.

Gdy skończył, rzekła z płonącemi oczami: „Bywają ludzie, którym niezwykłe zdarzenia wychodzą na spotkanie, innym zaś poszukującym ich wymykają się. Niko Ney, pan zawsze ma szczęście. Na parowcu naszym miał pan również przygodę, której nigdy nie zapomniałam. Przypomina pan sobie,

jak siedzieliśmy raz na tylnym pokładzie pod markizą, a z pośród łodzi ratunkowych wyszła malajska dziewczyna? Była to pańska służąca na Sumatrze. Chciał ją pan zostawić, lecz dziewczyna ścigała pana aż do Singapore, gdzie skryła się na parowcu i naraz wyszła do pana, na dzień przed opuszczeniem przez nas statku w Hong-Kong. Stało się to tak, jakby pan nie miał nigdy zamiaru zostawiać jej na Sumatrze. Skłoniła się przed panem, lecz jakby była służebną i żoną zarazem. Żadna kobieta nie wywarła na mnie takiego wrażenia. To była pierwsza. Czy przypomina pan sobie?

Ney wśród burzliwych wzruszeń wzdrygnął się na te słowa i wspomnienia. Nie chciał, aby żadna kobieta stała między nim a Lilit w tej szczęsnej i radosnej chwili wzajemnego odnalezienia się.

— Czy nie lepiej byłoby pozostawić te stare dzieje w zapomnieniu przeszłości?—rzekł.

— Ależ co pan, Niko Ney — zawołała żywo. Jak pan może? Jesteśmy przecież starymi kolegami! Jesteśmy ludźmi przecież i chociaż życie nasze nie opłaca się, to jednak to, co przeżywamy stanowi jedyną naszą własność. Niech pan nie będzie żabą. Nazywała się Mela. Przypominam sobie dokładnie jej imię, jakkolwiek wypowiedział je pan raz tylko. Wypowiedział pan to imię ze wzruszeniem i nie panując nad sobą. Właśnie w chwili, gdy ukazała się i chciała znów służyć.

— Więc dobrze — rzekł Ney zrezygnowany.

— Nie, wcale nie dobrze! To było wspaniałe! Jakaż była piękna! Sarong, przetykany złotemi nićmi, najpiękniejszy, jaki posiadała, owijał ciasno jej biodra i piersi, zaś nagie ramiona wymykały się z niego niby dwa boskie zwierzęta. Dlaczego marzę o jakiejś nieznanej malajskiej dziewczynie? W

żyłach moich tkwi jeszcze jej chód jak przeżycie. Niby królowa tygrysów. Dlaczego marzę o kolorowej dziewczynie?

— Niech pani marzy lepiej ze mną o białej, o sobie samej, Lilit!—rzekł Ney z zapałem.

— Proszę nie mówić głupstw, Niko Ney! —

— Prawda nie jest ani głupia ani mądra. Ona jest. A to co mówię jest prawdą. —

— Czy Mela jest jeszcze przy panu? Spodziewam się.

— Nadzieja nie zwodzi pani. Jest ona nawet na dworze. Czy chce pani ją widzieć? —

— Nie, — rzekła z nagłą szorstkością Lilit.

Wówczas Ney w upojeniu, które delikatną falą opłynęło jego serce, jednak żartobliwym tonem zapytał:

— Czy pani jest zazdrosna, Lilit?

Ale Lilit podała mu z miłym uśmiechem rękę.

— Może! — powiedziała tylko. A później znów innym tonem: — Co pan robi w Szanghaju?

Ney otworzył tamy i opowiedział jej, że zajmuje się z całą gorliwości, z poświęceniem i wiarą zakładaniem chińsko - europejskiego towarzystwa handlowego.

— Czy to się panu uda? To coś wielkiego! — rzekła Lilit, gdy skończył.

— Tak, uda się.

— Skąd pan wie?

— Ponieważ posiadam coś, czego pani brak: wiarę! Wiarę w siebie i wiarę w Chińczyków. A co pani tutaj robi, Lilit?

— Ja? Sądzę, że na świecie jest smutno. Co chciałabym robić, wiem. Co robię nie wiem.

— A coby pani chciała robić? zapytał Ney.

— Uciec od chłystków. Wszędzie jestem ich

ofiarą. Porzuciłam swoją ojczyznę, aby się ratować od nich. We wschodniej Azji wpadam im znowu w ręce. Tam mieli oni przy ciemnem ubraniu monokl, tutaj zaś chodzą bez monokla, gdyż wskutek gorąca szkło jest niewygodne, w białych, jedwabnych smokingach i wierzą tu jak tam, że w tem właśnie sęk. Powiedziałam już panu, że podobała mi się tylko jedna kobieta. Tylko wtedy, pańska malajka, ponieważ była równocześnie królową i służącą. Żądała, skłaniając się z żądzą tygrysa nad swą ofiarą, i skłaniała się, oddając się z pasją tygrysa. Była to jedyna ludzka istota, która wzbudziła we mnie entuzjazm. —

— Nie wiem co mam pani odpowiedzieć — rzekł Ney.

— Czy pan tańczy? zapytała Lilit wprost.

— Tak.

— Grają pięknego bostona. Chce pan?

Poszli.

Podczas tańca, zdało się naraz Neyowi, w rosnącym żarze febry, że został pochłonięty przez muzykę i ruchy, które spowiły jego i Lilit.

— Lilit, — rzekł, sądzę, iż muszę pani wyznać, że panią kocham. Czy chłystki mówią pani to samo?

— Proszę nie pleść głupstw, — odparła Lilit łagodnie.

Taniec ustał, Ney zaś nie wiedział, czy słowa Lilit odnosiły się do jego wyznania, czy też do uwagi na końcu.

Był to taniec ostatni. Towarzystwo rozpłynęło się, a Lilit i Neya otoczył krąg wspólnych znajomych, co uniemożliwiało dalszą rozmowę. Ney nie mógł znieść tej zapory, między sobą a Lilit, pełen rozpalonych od febry uczuć. Uczuwał podrażnie-

nie wskutek przeszkody, stworzonej między nią a sobą przez innych .Rozdrażnienie jego wzrastało gwałtownie, malarja opanowała go zupełnie i uczucia jego szalały wściekłością przeciw ludziom i dziewczynie. Wybuchnęła w nim hardość. Nie mogąc osiągnąć celu i mieć Lilit tylko dla siebie i swej rozmiłowanej duszy, wybiegł bez pożegnania.

Na dworze panowała ciemność. Rzucił się przez cienie ogrodu na ulicę. Obskoczyli go kulisi z rikszami, ale gdy odepchnął jednego, reszta momentalnie uciekła. Nie wiedzac czego chce, ślepy zaszedł na Carter Road. Owionęło go powietrze, nagłym, przytulnym i chłodnawym podmuchem. Nie szedł do domu, to pewne. Do żadnego człowieka, do żadnej zagrody! Nie, nie, nie! Chciał swe płomienne uczucia wyprowadzić na samotny spacer i sam, w opuszczeniu tłuc się z niemi przez całą noc po uroczyskach Szanghaju. Skronie jego tętniły. Pulsy biły wzdłuż ramion drewnianym stukotem i spalały się w sercu.

Gdy przeszedł zakręt ulicy uderzyły go z ciemności czyjeś oczy, jak sygnał. Poznał, że ktoś stoi w ciemności. Lecz nie zwracał na to uwagi. Co go obchodzili ludzie!

Ożenisz się z Lilit, mówił do siebie z potężnem pragnieniem, i wydał bolesny, żałosny okrzyk, gdy wyłonił się przytem w duszy jego jej obraz. Uśmiechnął się i wyobraził sobie wspólne gospodarstwo. Naraz wydało mu się, że wie, czyje to oczy wysłały z ciemności ku niemu spojrzenia. Mela!

Lecz było to już o wiele domów dalej. Nie obejrzał się nawet i szedł prędko, jakby w ucieczce. Czy jej ostatnie: Niech pan nie plecie głupstw!— odnosiło się do jego wyznania, czy też do zestawienia z chłystkami! Jak ważna byłaby pewność

tego, jak nieskończenie, niezmiernie ważna. Poco dodał tą głupią uwagę? Gdyby nie uczynił tego, wiedziałby teraz wszystko. Chwytał przed sobą powietrze ciemności, przesycone nagłym, mocnym i ciepłym nad miarę zapachem kwiatów z ogrodu jakiejś willi. Chwytał obydwiema rękami, splatał je, jakby chcąc w wiosennych upalnych powiewach objąć kędzierzawą główkę Lilit i zakląć ją w rozpaloną przez febrę krew swoją.

Przeszedł most Sutszau Creeks, idąc w lekkim odurzeniu za miasto i snując na głos szybko rosnące marzenia. Latarnie zniknęły. Ukazał się jakiś lasek. Chciał wejść tam, położyć się na ziemi i myśleć, o Lilit, marzyć, że ta ziemia, rozbudzona przez wiosnę, rozgrzana od pęcznienia nasion jest ciałem Lilit, które on bierze w posiadanie.

W lasku było ciemniej. Po czterdziestu czy pięćdziesięciu krokach, gdy światło najbliższej latarni nie było widoczne, zatrzymał się. Chciał się położyć. Naraz trzasnęła gałąź w ciemnościach. Ney stanął i próbował przeniknąć ciemność, aby zbadać przyczynę tego oderwanego dźwięku. Zajrzawszy przez moment nabiegłemi od febry oczami w otchłań ciemności, zobaczył, wyłaniające się zwolna z nieprzeniknionej nocy spojrzenie, to samo, które uderzyło oczy jego po wyjściu z Country-Clubu.

Ney przeraził się. Ledwie odważył się odychać. Wyobrażenie Lilit rozsypało się nagle, stało się niby snem, który bywa zapomniany po przebudzeniu. Krew uderzyła przykro i zelektryzowała jego uda, zadrżał Spojrzenie tkwiło napół zagrzebane w ciemnościj bez ruchu wbite w niego. Ręce jego zwinęły się w potężne pięści, wobec tego spojrzenia. Ale gdy chciał podnieść ramiona, zaklęła je niemoc. Wysunął twarz rozedrganą gorącym i suchym dresz-

czem i wparł ją w obydwoje oczu, których źrenice twardo i jasno, niby dwie okrągłe, płomienne kule w wielkich owalach srebrzystych strzelały ku niemu. Członki jego chwycił dygot. Zęby szczękały mu bez przerwy. Mózg ogarnęła bezradność. Tuż ukazało się nagle grube, wapienno zielone, napół okryte zwiędłemi gałązkami oblicze trupa z obrzmiałemi ciemnemi plamami z salonu pani Wilms, a w uszach zabrzmiał mu znów głos nieszczęsnej kobiety: — Pogrzebał swe pieniądze w swoich wnętrznościach! Niech je pan stamtąd wygrzebie! — Niesamowitość padała na niego z wszystkich drzew, niby deszcz? Z poza każdego krzaka tryskał na niego strach. Czuł, że oczy mu tężeją jak lodowe kule. Ciemność zaludniła się igłami płomiennemi, z jakiegoś czarnego ognia, wobec których jego zlodowaciałe oczy były bezradne. Poza tem wszystkiem jednak tkwiło spojrzenie dwojga oczu jak sygnał z poza świata. Chłód niby nóż szarpnął mu łydki na myśl o tem.

Mózg jego, w którym myśli pędziły jak kłójące igły, przeniknęło wspomnienie słowa, używanego często przez Melę: malajski czar krwi! Malajowie w plantacjach Sumatry twierdzili zawsze, iż są w posiadaniu sił czarodziejskich, które mogą bez dotknięcia sprowadzać nieszczęście i śmierć na człowieka, sił dobytych z głębi łona potęg natury, z tej pramaterji, nad którą Europejczyk stracił już władzę.

Wiedział teraz: Te oczy w lesie to były znowu oczy Meli: Ogarnęło go naraz dzikie szaleństwo przeciw tym oczom, za swą wobec nich słabość: Mela przybyła potajemnie za nim z Sumatry. Chciał ją usunąć ze swego życia. Była silniejsza od niego... trzymała się jego życia jak polip. A teraz gdy przyj-

dzie Lilit, Malajka zjawi się znowu i stanie między nimi, jak otchłań niebezpieczeństwa i jadu.

— Poczekaj, ty!' — rzekł ze złośliwą wściekłością, czyhając z rozgorzałemi oczami, świdrującemi ciemność...

— Poczekaj! Razem z twoim malajskiem czarem krwi! Poczekaj trochę — Krew nabiegła mu do oczu, niby czerwone kłębki. Nieznacznie wyciągnął rewolwer —Czekaj... poczekaj jeszcze troszeczkę!— powtarzał łasząco, a potem zaryczał dzikim głosem w stronę oczu: — Ty!... Ty!...— i strzelił dwa-trzy razy, wyrzucając uzbrojoną rękę z pasją w stronę spojrzeń z ciemności.

Hałas wrócił mu przytomność. W zwichrzonej, przez malarję krwi tkwił teraz gniew zimny i twardy, jak stal. Podszedł do miejsca, gdzie widział oczy macał dokoła nogami, dotykał krzewów i ziemi rękami. Nie znalazł nic.

— Mela! — zawołał surowo. — Mela! —

Nic się nie poruszyło.

Szukał dalej. Nic nie znalazł, wołał, szeptał, wołał. Później odszedł. Wracał do miasta przez Sutszau Creek. Kulis z rikszą zaofiarował mu swoje usługi na Sinza Road; Ney wsiadł do wehikułu. Chińczyk pobiegł. Otaczała Neya noc raz chłodem raz ciepłem. Pora była między zimą a przedwiośniem.

— Dokąd, panie? — zapytał kulis, bez zatrzymania się. Biegł wzdłuż Avenue Road.

— Jazda! — rzekł Ney, osłabiony febrą.

Dopóki siedział w tym wehikule nie miał potrzeby obierania decyzji. Wiedział o tem.

Po chwili kulis stanął. Był to klub niemiecki.

— Nie!—rzekł Ney. —Ulica konsulatu.—

Mieszkał tam w francuskiej koncesji.

Kulis pobiegł natychmiast dalej. Na Huan Pu

grały światła okrętów Potem riksza skręciła znów do miasta.

Ney, wszedłszy do położonego w ogrodzie domu z werandą, nie spotkał nikogo ze służby, jakgdyby wszystko wymarło. Powlókł się zaraz do swej sypialni, zaryglował drzwi, zamknął w przezornej trwodze okna, zaciągnął firanki i padł na łóżko.

Nie mógł zasnąć. Wieża głodu, Lilit, pani Wilms rozciągnęta na podłodze, Mela, boston, trup w trumnie, roztrzaskana waza na zielonem obliczu, złote loki i oczy w ciemnościach tańczyły w nim jak karuzel. Wstał potem, palił, wziął chininę i pił whisky.

— Tak nie może być, muszę się opanować i być spokojny! — rzekł. Zajrzała służba. Odprawił ją.

— Nie potrzeba, dziękuję!—zawołał. Wzrastała w nim niepohamowana radość twórczości. Febra jakby miała się ku końcowi. Leżał w fotelu odurzony nieco chininą i tytoniem a w jego głowie ozdrowionej dojrzewały pomysły do planów, które nietylko Chiny, ale cały świat pokrywały przedsiębiorstwami i w małych komórkach jego fantazji nietylko szukały, ale i znajdowały nad miarę pożywki i duszę. Z trudem zdecydował się położyć. Rozszerzę, —mówił głośno do siebie w oszołomienieu bujnych rojeń, — rozszerzę przedsiębiorstwo na całą Azję i nazwę je Azjatycko-Europejską Kompanją. Skrót rozebrzmi po świecie: Azeuko... Azeuko... A... zeu...ko..., da sią nawet pisać chińskim alfabetem.

Długo jeszcze leżał bez snu kołysany łagodnie i dobroczynnie na falach swych wielkich myśli. Dom spał już oddawna. Naraz ktoś zastukał do drzwi.

— Zamknięte — zawołał — Kto tam? Czego chce?

— Tuanie, — wyszeptał za drzwiami głos Meli.

— Precz! wrzasnął Ney, spadłszy odrazu ze swych powietrznych zamków do wściekłej złości.

— Tuanie — szeptał głos i zdawało się, że nie brzmi on za drzwiami, lecz jakby wydawał go mały żuk ukryty w drzewie.

— Czy chciałeś mnie zabić, Tuanie?

Ney zatkał sobie uszy...

Ryczał bez przerwy; — Precz! precz! precz!

Gdy krzyczał, głos żuka brzęczał przez drzewo drzwi.

— Z powodu złotej panienki z wielkiego parowca. Tuan tańczył z nią. Wiem! Wiem wszystko! Jestem malajką. Jestem silniejsza niż Tuan. Mam malajski czar krwi!

Gdy Ney odsłonił uszy, nie było już nic słychać. Milczenie i noc, zatapiały wszystko w mącie, leżały niby ciasto na domu i nadsłuchującym.

---

# III

Nung Tsi Toung, komprador Neya wyszedł z ningpo; był to starszy człowiek o pociągłem obliczu, długim nosie i grubych workach pod oczami. Oczy jego miały ojcowski wyraz podobnie jak cała postać, cicha przytem, dumna i pewna siebie. Miał wielkie stosunki z Europejczykami, a szczególnie z Niemcami i był od czterdziestu prawie lat kupcem na wybrzeżu.

Następnego dnia po przygodach Neya przyjmował on u siebie innego starszego Chińczyka w swojem biurze, urządzonem w małej ubikacji przy prywatnym kantorze Neya. Kantor znajdował się w pobliżu przystani na ulicy Kantonu. Obaj panowie oczekiwali kupca europejskiego, rozmawiając o Neyu, o interesach, Sun Jat Sen i nowoczesnej polityce Chin, która wyda kraj Japończykom, o przebiegu ostatniego święta latarń i o dobroci ciastek ryżowych, przygotowanych na uroczystość.

— Twój biedny sługa Nung, — rzekł komprador do swego gościa, — za dużo, nie da się zaprzeczyć, trochę za dużo zjadł przysmaków ryżowych, co nie wyszło mu wcale na zdrowie.

— Zasmuca to twego oddanego bardzo, ogromnie zasmuca, moja cenna światłości! odpowiedział grzecznie Dji Fa San.

Obaj starsi panowie śmiali się rozbawieni.

Dji był setszuańskim znakomitym kupcem.

Ney spóźnił się do kantoru. Wczesnym rankiem zasnął twardo. Skóra na głowie zdrętwiała mu od chininy. Krew ociężała od opanowanej febry. Odrazu zaczął szukać w biurze kompradora.

— Oh, przepraszam, panie Nung, ma pan gościa rzekł, wchodząc. — Chciałem się tylko wytłomaczyć ze swego spóźnienia. Obaj Chińczycy ponownie powstali z wielu uśmiechami i pokłonami, a ująwszy każdy prawą ręką palce lewej, potrząsnęli niemi dwornie przed Neyem.

— Nie, nie, panie Ney, przeczył Nung dobrotliwie — Mój stary przyjaciel w interesach, chciał uczynić sobie zaszczyt poznania pana i oczekiwał tutaj.

Ney i Dji skłonili się powtórnie przed sobą. Ney prosił obu panów do siebie.

Chińczycy usiedli na brzegach foteli klubowych i starannie uporządkowali jedwabne szaty na czarnych spodniach.

— Przyjaciel mój nazywa się Dji Fa San! rzekł Nung.

— Oh! zwrócił się Ney, — pan Dji, jest mi doskonale znany jako kupiec.

— Szczęśliwa okoliczność sprowadza tutaj pana Dji.. rzekł Nung.

— Ależ nie... rzecz prosta! bronił się Dji. Sława pana Neya... Mój stary przyjaciel Nung był łaskaw opowiedzieć mi wczoraj...

Ney wiedział, o co chodzi. Jego pośrednik mówił mu o Dji Fa Sanie, jako o najbardziej wpływowym kupcu setszuańskim. Gdyby go było można zdobyć dla przedsiębiorstwa miałoby się nietylko moralny i bezpośredni zysk finansowy, ale o wiele więcej. Do niego bowiem należy mnogość dżunek, przewożących towary z Tybetu, Jinau i Setszuanu

poprzez górną dolinę Jang-tse i Itsang, a rynek Setszuanu był całkowicie owładnięty przed Dji. Ułożyli się, że Nung opowie mu o planach Neya.

— Ale panie Dji, że też pan trudził się osobiście wśród dnia pełnego pracy, do mnie, rzekł uprzejmie Ney... — czy mam sobie tłomaczyć to zainteresowaniem z pańskiej strony?

Uśmiechając się przyjaźnie Dji przytaknął. Nung uśmiechnął się również po ojcowsku i rzekł: — All right!

— Tak że, Mówił Ney dalej, — pozwoli mi pan, zająć sobie trochę czasu jeszcze, by wyłożyć o co chodzi, co pan Nung niewątpliwie już zrobił lepiej.

Obaj chińscy panowie uśmiechnęli się znowu i skinęli potwierdzająco.

Ney mówił potem długo i wyczerpująco do Dji, który słuchał w milczeniu.

Gdy skończył, Dji odrzekł krótko, ale z uśmiechem przychylności:

— Jestto wielkie przedsięwzięcie. Wymaga tysięcy, tysięcy.

Ney odparł mu z uprzejmą powagą: — Dlatego, że wielkie, mówiłem o tem najpierw z panem.

Jednak Ney miał wrażenie, jak gdyby Dji nie potrzebował tych słów, gdyby chciał odmówić, wymówił je formalnie, powodowany jakiemś wewnętrznem prawem, którego istoty nie mógł pojąć, lecz miał ją w instynkcie.

Obaj Chińczycy pożegnali się odpowiednio i wrócili do biura kompradora.

Tam Dji rzekł: — Mój szlachetny bracie, obcy kupiec podoba mi się, jeśli książe mej małości zezwoli mi to wyrazić. Posiada formę.

Nung śmiał się ojcowsko, potwierdzając.

Ney poszedł później do hotelu Kali na tiffin.

Czuł się zbawiony. Odwiedziny Dji dały mu nowego bodźca. W hotelu dowiedział się, czy Lilit mieszka w Kali.

Tak, mieszka. Czekał i pił przy stole dużo whisky, aby nie zdradzić celu swego oczekiwania. Ale Lilit nie nadchodziła. W końcu ogarnęła go niecierpliwość i zapytał, czy jest w domu. Usłyszał, że odjechała konno do Zikawei i oczekiwano jej dopiero popołudniu. Został więc jeszcze i pił znowu, aby zatrzeć wrażenie swych pytań.

Z głową zajętą, z napiętem sercem opuścił hotel. Riksza zawiodła go domu. Po drodze postanowił nie czynić tego więcej. Było w nim coś odświętnego. Wieczorem ujrzy Lilit znowu.

— Zobaczę ją wcześniej, rzekł nagle. — Muszę ją zobaczyć wcześniej. Wyjadę naprzeciw niej.

Utrzymywał dla siebie małego konia i dwukołowy wózek. Na nim chciał zaraz wyjechać do Zikawei.

* * *

Ney zabrał ze sobą do Szanghaju z lasów Atje młodą panterę. Ney kochał las, który rozległem zadrzewieniem pełzał przez góry i pełen był wsi Bataków, małp, wodospadów, dziupli pszczelnych i przygód. Często włóczył się po nim. Zabrał młodą panterę z sobą do Chin, jako wspólniczkę swej miłości do lasów, które krater Sinambung oblewał żółtemi, jak siarka lub białemi jak kwiaty chmurami

Szczenię panterze mieszkało w małej stajence, zbudowanej w ogrodzie na rozkaz Neya. Czasami wypuszczał je. Znało ono Melę i jego i próbowało niby piłka między dwiema ścianami, skakać od jednego do drugiego, gdy się ku niemu zbliżali.

Ale gdy przyjaźń Neya dla dorastającego zwierzęcia zwolna chłodła, gdyż absorbował go Szanghaj i interesy, tak że zatracił doń wkrótce serce, a zwierzę ze swą gorącą żywością pozostało tylko uciechą oczu, Mela zawarła z panterą przyjaźń krwi.

Rankiem, gdy pan wychodził do biura, leżała ona przy panterze w stajni i obwijała jej ciało wokoło swej szyji niby żywy, ciężki łańcuch. Trzymała łapy jej przednie w swych dłoniach i gładziła niemi swe piersi, a gdy pantera wysuwała trochę pazury, co się nieraz zdarzało, strumień krwi uderzał falą w jej serce. Pantera była lasem i dziczą. Szanghaj, do którego przywiązał ją zły czar był kamienny, martwy. Ludzie w nim byli Chińczykami, nie mieli oczu i mówili jakimś szorstkim, gardłowym językiem bezdźwięcznym, który jej nie cieszył. Ulice nie były lasami. Domy nie były ścieżkami dzikiemi, walczącemi z zaroślem i pokrzyżowane przez ślady tygrysów i węży boa, aby krwi użyczać dreszczu między stworzeniem a wyzwoleniem w mrocznych potęgach prabytu. Hałas uliczny nie był szumiącym jak bór i kamienie grzmiącym śpiewem wodospadów w lasach Sumatry.

Roiła tak sobie stroskana, ogarnięta bólem, owinąwszy panterę wokół siebie. Pantera była jej ojczyzną w tym pustym, obcym kraju.

Tuan strzelał do niej wczoraj w nocy. Sądziła, że gdy zobaczy ją w samotnym lesie, a ciemność usunie z drogi rozbójnicze miasto, odda jej znowu jak niegdyś siłę swego życia i miłosne spojrzenie swych oczu. Ale on tańczył ze złotą panienką, która miała skórę białą jak miąższ banana! Kto może powiedzieć, która jest mocniejsza.

Mela podziwiała złotą pannę. Mela kochała ją tak, jak kochała panterę. Kiedyś przyjdzie czas, że

pazury i zęby pantery zwrócą się przeciw Meli, tak jak teraz biała niby miąższ bananów skóra cudzoziemki. W młodości tkwi śmierć, jak w nadzmysłowej dobroci smaku owocu, durian jest zapach martwych wnętrzności. Śmierć stała poza temi rzeczami oddawna, nieugięta jak Sinambung nad górami Deli.

Bronzowa skóra przeciw białej skórze! Przez duszę jej przepływały wspomnienia żałosnych skarg muzyki miłosnej w lasach, gdy księżyc dopełniał się nad Sumatrą.

Nieostrożnym chwytem wpiła rękę w szyję pantery. Ta zadrapała ją, przestraszona nagłym ruchem w pierś i zerwała sarong poniżej obojczyka. Odsłoniły się piersi. Wypłynęło trochę krwi; rubinowy, przemijający owoc na brunatnej skórze zatrzymał się na ostrym szczycie.

— Kochana! rzekła Mela głośno do zwierzęcia. Chciała usłyszeć jego głos.

Komu Bóg przeznaczył ostatecznie spełnienie? Białej skórze? Brunatnej ziemi? Biała skóra, wiedziała Mela z doświadczenia, była nieskończenie potężna Ale Mela miała za sobą bolesny żar pradżungli, tysiąckroć zabrane i tysiąckroć nienaruszone... dziewicze źródło swej lesistej ojczyzny

Gdyby na miejscu pantery był jej pan! strzeliła jej przez krew myśl błoga. Jakżeby ubóstwiała tę krew, która zatrzymała się na jej piersi... gdzie leżała niby stopiony przez miłość owoc rubinowego kamienia. Jak pradawny górski potok w czasie ulewnym rosło i przewalało się w niej potężnie. Pieściła dziką panterę, krew z krwi swojej ojczyzny i swej żądzy.

Zatopiła się w myślach nad sztukami, któremi w jej dziecięctwie leśnem działały kobiety na mężczyzn

gdy chciały ich zatrzymać lub zniszczyć przez zawód miłosny, pieściła panterę nagłemi to znów pociągliwemi ruchami. Oszałamiała ją ocieraniem obnażonego, falującego nienasyconem, ciężarnem szaleństwem ciała. Jej pan kochał to zwierzę. Kochał w zwierzęciu ojczyznę Meli, z której ją zabrał, gdy łono jej budziło się, porwał ją młodzieńcom jej wioski...

Było coś trzeciego między nią a panem, co wywołało ten związek. Chciała to wzbudzić w panterze, aby pan przyszedłszy uległ temu czarowi i bawiąc się z panterą z jej oczu i ruchów i z drgających członków przejął to trzecie tak, jak przejmuje się miłość, życie lub śmierć z tego, co tkwiło poza widzialnem życiem.

Dotykała skóry pantery i mówiła: — Jest ona niesforna, zwinna i dzika jak skóra malajskiej dziewczyny. Gdy położy on na niej swą rękę, wróci znów do Sumatry i do mnie.

Usłyszała naraz, że pan przechodzi przez ogród. Znała chód jego, tak samo jak w domu poznawała wijące się pełzanie węża boa wśród liści leśnych.

Pan wołał do kulisa: — Zaprzęgać!

Panie weźmiesz panterę z sobą w drogę! rzekła do siebie zaraz, zrozumiawszy ten rozkaz. I nieugięta była w tem pragieniu, by życzenie jej się spełniło, aby czar działał. Było to tak w niej mocno niecofnione, jak to, że wodospad musi zawsze spadać ze skał i nigdy nie może płynąć pod górę.

Otarła krew, naciągnęła sarong na piersi i przymocowała go mocno pod ramieniem. Panterze nałożyła obrożę z łańcuchem i czekała. Zaglądała przez drzwi i zobaczywszy, że wóz był już zaprzęgnięty i czekał na Tuana, wabiła gorącemi, szybkiemi słowy zwierzę za sobą. Pantera skoczyła przez

drzwi do pojazdu. Mela trzymała ją na łańcuchu przymocowanym do obroży, stojąc w tyle wozu.

Ney wyszedł. Mela spojrzała na niego w milczeniu, nieruchoma.

Wsiadł do powozu. Wówczas wzrok jej stał się twardy i prosty, jak zeszłej nocy w lasku, wyczekujący w ciężkiem milczeniu.

Pan, czując na sobie ciężar tego czarnego wejrzenia, zapytał: — Czego chcesz?

— Ona chce z tobą! odrzekła z jagnięcą pokorą.

— Kto?

— Ona! wskazała panterę.

— Głupstwo! zawołał pan.

Mela przystąpiła do koła powozu.

— Uważaj, jadę! rzekł Ney.

— Oto! zawołała z dziecięco czystym uśmiechem i wsadziła błyskawicznie zwierzę na siedzenie, odstępując równocześnie od koła.

— Zabierz ją! krzyknął Ney.

Ale Mela śmiała się jakimś obcym, słodkim i dalekim śmiechem.

— Kulis, zabierz ją!

Lecz Chińczyk cofnął się i rzekł: — Boję się, panie.

W drzwiach stał chiński służący Neya i przyglądał się.

Ney zły, wysiadł z powozu, zdjął panterę, która ociągała się nieco i przez spodnie lekko zadrasnęła go pazurem. Mela trzymała panterę na łańcuchu. Gdy pan był znów w powozie gotów do odjazdu, wsadziła Mela zwierzę z tyłu na dolne siedzenie owinęła momentalnie łańcuch o oparcie i zaśmiała się, lecz już nie dziecięcym tym razem śmiechem, ale z niepohamowanem oddaniem się, żądzą, nawet z szyderstwem.

Wówczas Ney, gniewny bezgranicznie, straciwszy panowanie nad sobą, uderzył ją biczyskiem z drzewa pieprzowego przez twarz. Konik pogalopował po ścieżce ogrodowej, zestraszony gwizdem bata. Ney nie mógł go zatrzymać. Służący wołał: — Panie, proszę nie wyjeżdżać dziś z domu! Nieszczęście stoi na pańskiej drodze!

Ale Ney, żałując swego niepohamowanego gniewu, aby zakończyć sprawę, zrezygnował i wyjechał z panterą na ulicę. Pantera kurczyła się i miauczała. Później uspokoiła się, usiadła na tylnych nogach i wlepiła nieruchome, chytrze przymknięte oczy w grzbiet biegnącego konia.

Mela została. Biczysko uderzyło ją w twarz i odbiło się o miejsce, w które zadrapał ją kot. Palił ją niby sznur ognisty na policzku, a na piersi jak gorący węgiel. Pobiegła do stajenki pantery, rzuciła się na ziemię, oczy jej płonęły, serce jej śpiewało uniesieniem, a krew rozprowadzała śpiew serca po wszystkich członkach. Brunatna skóra! Brunatna sierść! Brunatna ziemia! śpiewało w niej. Wodospady Sumatry brzmiały w jej uszach. Ślady tygrysów i wężów boa przecinały jej marzenia. Łono praboru uniosło się, czarna ziemia napęczniała tajemnemi siłami życia, które niewidzialne towarzyszyły życiu a wszędy syczały, dymiły i wrzały tajemnicze moce.

Ney przejeżdżał długą ulicą Konsulatu, skręcił w Avenue Paul Brunet i puścił małego konika kłusem. Pantera znajdowała się na siedzeniu obok pana, skryta za swem obojętnie łyskającem spojrzeniem, niby za szklanną ścianą. Zachowała w oczach czerwony ślad na piersi kobiecej i aby go nie stracić przymykała prawie całkiem powieki. Myślała o gnieździe w ostępach, które napełniał czasami

słodki zapach krwi, podczas gdy ssała z wymion swej wielkiej matki mleko tak, aż jej wylewało się przez dziurki od nosa.

Lizała wówczas słodką, uwodzicielską, przenoszącą w inne światy krew zdobyczy, przynoszonej przez matkę do legowiska.

Powóz mijał niezliczone, pędzące riksze. Przejeżdżał pojazd jakiś jakby cały z kryształu. Siedziały w nim dwie młode chińskie damy i paliły papierosy w cienkich jak źdźbło, długich jak ołówek cygarniczek. Jedna była ubrana w czerwony jedwab, niby kwiat hibiskusa, druga w żółto-czerwone szaty jak kwiecie La Me-Chna, które właśnie na bezlistnych jeszcze gałązkach ponad sadzawkami ogrodów rozwijało swe pierwsze w tym roku płatki. Siedziały, niby dwa kwiaty i dodały wspomnieniom pantery nowego bodźca. W gnieździe było również czerwono i żółto, jak w tych kwiatach, które przebiegły. Ale w lesie żółte i czerwone kwiaty leżały przykute do ziemi, owiewał je upojny zapach krwi; obraz i woń zjednoczyły się nierozłącznie we wspomnieniach pantery.

Ludzie oglądali się za Neyem i panterą, stawali i czynili uwagi. Chińczycy dowcipkowali za jego plecami z grzecznym uśmiechem. Tylko kulisi od rikszy przebiegali, nie odwracając wlepionych oczu od wąskiego paska ziemi, po którym biegli. Miał on szerokość ich dwu nóg i biegł z ich mózgu do celu, który emanowała siła znajdująca się w pojeździe. Czy pędzą dość szybko dla pana, rozporządzającego małemi żółtemi miedziakami i wielkiemi brunatnemi centami? Czy nie odczują nagle kopnięcia jego butów z tyłu? Nie można wiedzieć. Trzeba pe nić swój obowiązek i znosić! Tak spędzali, pośród tych biednych, małych, surowych myśli, niby zamknięci między

ścianami szachty, kolej swych dni i swego życia. Mijali go handlarze, również nie spoglądając. Gdyż moment, odwrócenia uwagi mógł im zabrać kupującego. Mieli oni na kołyszającym się w takt kroków drągu, przewieszonym przez plece, koszyki i naczynia z towarem lub piecyki, w których gotowały się potrawy, wydając wraz z lekką, białą parą przyjemną i nęcącą woń. Śpiewali ze wzrastającą, a zawsze w ten sam ton, wpadającą kadencją o specjałach zawartych w garnkach, kołyszących się na ich drągu.

Pantera nie zwracała uwagi na ruch uliczny. Oczy jej były coraz spokojniejsze.

Źrenice zwężały się coraz bardziej. Kilka punktów z jej wspomnień stężało w nich i utrwaliło się, równocześnie, wydobywając coś, co jak radosny, pełny balon pędziło przez krew i bujało się przed nosem. Czy miała chwycić balon?

Ney wyjechał teraz na wolny gościniec, wiodący do Zikawei.

Pantera łypnęła na niego zgoła pożądliwie; od tego łypnięcia uderzyła krew ciężką falą przez jej piersi i zaszumiała od łap aż do paszczy.

Teraz Ney znajdował się na skrzyżowaniu dróg. Pierwsza droga wiodła od Avenue do biegnącej równolegle w kierunku południowym szosy zikawejskiej. Później następowała druga przecznica, łącząca oba gościńce Zikawei z Szanghajem.

Lilit mogła przejeżdżać tą albo tamtą; Ney zatrzymał konia, namyślając się przez kilka chwil. Naraz wydało mu się, że jakieś towarzystwo wjeżdża na Ponte des Secours i pociągnął za lewy lejc. Powóz skręcił. Pantera rozwarła teraz oczy szeroko. Była oszołomiona tem co stało się z jej piersią, jej łapami i zębami i rzuciła się, bez wahania z gorącym,

przenikliwym stękiem. Napadła Neya napół z tyłu, uderzyła łapą z szeroko rozstawionemi pazurami w jego pierś i szarpnęła od góry do dołu, a drugą owinęła plecy i wbiła zęby w głowę pana.

Ney zakrzyczał, puścił cugle i chwycił w tył za głowę pantery, lecz nie mógł jej oderwać. Konik przerażony tem, co się za nim działo, skoczył dziko w bok, zjechał z wozem jedną stroną w rów, gwizdał, parskał i rwał się w uprzęży. Ney zrozumiał błyskawicznie, że był bezsilny wobec kota w tej sytuacji. Czuł, że krew pluszcze i zalewa gorącem jego pierś i twarz. Bez namysłu rzucił się wraz z zwierzęciem z wozu na ziemię. Pantera uwiązana do siedzenia została na łańcuchu, oderwana od swej zdobyczy, wyła rozogniona z rozczarowaniem i uderzyła raz jeszcze, o ile mogła dostać, przednią łapą w pana. Trafiła go lekko, wijącego się na ziemi, końcami pazurów w głowę, zerwała skórę, włosy i zadarła ześlizgniętymi palcami głęboko w plecy. Tutaj zatrzymała się. Krew grała w niej poszumem, a serce śpiewało głuche, dzikie pieśni od grzbietu aż do ogona.

Chciała polizać pożądliwemi wargami, szczęsna i spragniona smaku tej kosztownej słodyczy. Lecz łańcuch trzymał jej pysk zdala. Szalona wściekłość wzburzyła jej muskuły. Wpadli ludzie na koniach. Zeskakiwali ku niej. Pantera zwróciła się ku nim radosna z nowej zdobyczy, skacząc ostro na łańcuchu. Ktoś strzelił jej w łeb z rewolweru i zabił momentalnie. Ktoś inny przytrzymał szarego konika i pomógł mu wyciągnąć wóz z rowu, a trzecią była Lilit. Nachyliła się nad leżącym, którego głowa pokryta była maską krwi. Nie poznała go.

Naraz usłyszała słowa strzelca: —To przecież koń Neya?

Teraz wiedziała już, kto leżał w krwi na ziemi, a biała jej skóra zbielała jeszcze bardziej. Ni słońce... ni ocean indyjski nie mógł jej zmienić. Ale temu, że Ney leżał między życiem a śmiercią na tej obcej ziemi, temu nie mogła się oprzeć ta niezwyciężona skóra północna. Uklękła. Krew uciekła z serca. Podniosła głowę leżącego i ocierała swą małą chusteczką zniekształcone, zalane krwią oblicze. Lecz cóż mogła poradzić jej malutka chusteczka na ten strumień krwi, wydartej z życia mężczyzny, który jej wczoraj oświadczył, że ją kocha.

— Niko Ney!—błagała. Serce jej, opróżnione z krwi, pełne było po brzegi trwogi. Ney czuł jej błogosławione białe ręce na swych ranach, lecz już jej nie poznał. Strata krwi, upadek i strach odjęły mu przytomność.

---

## IV

Ney ocknął się w szpitalu generalnym. Światło elektryczne stłumione płonęło u sufitu. Wszystko było białe. Twarz miał okrytą bandażami. Rany były już zeszyte. Jedna strona pleców leżała w gipsie. Niemiec lekarz znany mu, siedział przy łóżku, pochylił się nad nim, zauważywszy, że pacjent otworzył oczy.

Ney nie schwycił wątku. Zdawało mu się jakby wziął straszliwie wyczerpującą kąpiel w rozgrzanej i przesyconej mocnemi ziołami wodzie. Później spojrzał na lekarza, poznał go niewyraźnie mając wrażenie, że to jednak Dr. Brandt, z którym grywał w klubie w bilard.

Ney wyszeptał: — Dobrze zaspałem. Wybacz doktorze. Malarja. Czy mogę... zaprosić na whisky... Pan gra...

— Ma pan humor — zaśmiał się Dr. Brandt.

Lecz Ney znów zapadł w niemoc.

Lekarz miał dyżur nocny. Około jedenastej przyniósł posługacz chiński kartkę, w której Lilit dowiadywała się o stan Neya. Lekarz napisał kilka wierszy uspokajających.

Całą noc Mela kręciła się wokoło szpitala. Wczesnym rankiem weszła i zażądała, aby ją wpuszczono do jej Tuana. Powiedziano — Nie!

— To mój pan! — upierała się.

Chiński oddźwierny wyrzucił ją za drzwi.

Później przyszła Lilit. Lecz zwrócono jej uwagę, że na razie nie wolno nikogo puszczać do chorego. Mela z radością widziała, jak przyszła i odeszła.

— Złota panna nie ma tej mocy — rzekła. — Mela jednak pójdzie do niego. Gdy przyjaciółka noc spędzi słońce.

Strzegła wejścia i wyzyskała moment, gdy stróż opuścił swe stanowisko. Udało jej się wślizgnąć do budynku i skryć się za szafą w ciemnym kącie kurytarza. Godzinami stała bez ruchu, czekając aż noc zaciemniła wielkie okna, widne na drugim końcu.

Gdy zapadła ciemność a ruch w domu zwolna zacichał, wymknęła się ze swej kryjówki i poszła na poszukiwanie. Przechodziła przez małe separatki. Jakiś chory jęczał ku niej — Doktorze, ratuj! — Nieruchoma sunęła dalej. Lampka nocna płonęła niepewnie. Ale oczy jej znalazły natychmiast łóżko, na którem leżał on i jakkolwiek słabo widać było oblicze zwrócone ku światłu, poznała go natychmiast.

Był tam ktoś jeszcze, ktoś siedział na krześle, lecz nie zauważył jej. Czy spał? Mela stała cicho jak łodyga kwiatu przy drzwiach, patrzyła i czekała. Gdy tamten się nie poruszył, odważyła się podejść. Widziała, że łóżko nie stało przy samej ścianie i pozostała mała przestrzeń wolna. Postanowiła to wyzyskać. Osunęła się na ziemię niby pająk bezgłośnie i wsunęła się cienka, jak liść w tę przestrzeń.

Gdy tak leżała ukryta, tamten obudził się, powstał i schylił się nad łóżkiem. Potem usiadł znowu. Mela zachowywała się cicho. Przeszła chwila. Gdzieś dały się słyszeć kroki. Mela leżała i nadsłuchiwała stąpania. Zbliżało się. Potem rozległo się w pokoju.

— Dobry wieczór, Wu — rzekł ktoś. — Co porabia nasz chory?

— Nie rusza się, panie doktorze!

— Zbadajmy puls. Stracił wiele krwi. Osłabienie potrwa jeszcze.

Po kilku minutach — Wu, może pan iść już spać. Puls spokojny. Niema obawy czegoś niespodziewanego. Zresztą sprawa poważna.

Oba kroki oddaliły się cicho i miarowo.

Mela podniosła się. Skłoniła się lekko i delikatnie, jak libella nad łóżkiem i szeptała uszczęśliwiona — Tuanie, Mela jest przy tobie. Nie bój się, nie umrzesz. Mela wie to lepiej, niż lekarze. Jesteś bowiem pod tchnieniem czaru malajskiego.

Szczęsna, pożądliwa, brunatna i błyszcząca, jak zaciemniony połysk światła, padający przez bronzowy topaz, wsparła się nad łożem Neya i okryła chorego falą swych rojeń. Trwała tak godzinami. Gdy zaczęło świtać, wysunęła się z pokoju. Znalazła w sieni otwarte okno do ogrodu. Pod oknem był gzyms przerwany przez rynnę, a po rynnie zsunęła się wdół.

Odtąd przychodziła Mela co noc. Okno w kurytarzu było stale otwarte. Wspinała się po rynnie, a później jednym chwytem za ramę okienną przedostawała się z pomocą gzymsu do sieni. W pokoju pana siadała między łóżkiem a ścianą i była przy nim całą duszą. O ile milczące były jej usta i ruchy — aby tylko nie przerwać snu uzdrawiającego i nie odstraszyć dobrych duchów czaru, — o tyle krew jej była wymowna. Nie wychodziła nigdy, zanim brzask nie szarzał w oknach. Przeskakiwała przez mur na ulicę Trendon i biegła do domu. Przez cały dzień spała na barłogu żabitej pantery.

Zaledwie Mela była w domu, przychodziła do szpitala Lilit. Rozmawiała z lekarzem o stanie Neya i ze słodkim uśmiechem rzekła, usłyszawszy raz jeszcze, że już jest dobrze i niebezpieczeństwo

minęło: — Jestem przecież, jeśli rzec można, początkiem jego uratowania. To też naturalnie pragnęłabym bardzo doczekać się końca.

Lekarz, uśmiechając się powściągliwie, powtórzył: — Naturalnie.

Lilit przychodziła często. Wychodząc z hotelu zawiadamiała stale, gdzie można ją znaleść. — Gdyby był telefon do mnie! — dodawała mimochochodem. — Mam znajomego w szpitalu.

Przygoda Neya z panterą stała się przedmiotem rozmów na mieście, w klubie angielskim i Concordia-Clubie, od przystani do placu sportowego. W willach, kantorach, w hallach hotelowych, na placu krokietowym Country Clubu mówiono o niej:

— Głupiec! A co, nie mówiłem! Całkiem ekscentryczny gość. Patrzajcie, jego chińsko-europejskie towarzystwo handlowe... Chińczyk, jest i pozostanie świnią; nie zmieni tego żaden pan Ney, by zrównać go z europejskimi kupcami, może to robić tylko idjota lub ktoś, kto chce w mętnej wodzie łapać ryby. Pan rozumie...

— Brudna konkurencja! — zgodził się inny.

— Mógłby się wyzbyć nałogów z Sumatry. Szanghaj jest miastem, nie dziewiczym lasem. Panują tu obyczaje cywilizowane. Proszę wyobrazić sobie, co byłoby, gdyby bestja wyskoczyła z jego powozu. Mogłaby wtedy pożreć każdego z nas.

— Trzeba rozważyć, czy nie dać mu do zrozumienia, aby wystąpił z klubu! Ostatecznie nie jesteśmy towarzystwem dzikusów! Czy wogóle ma on smoking. Onby gotów nam kiedyś strzelić z rewolweru w zupę i obryzgać gors koszuli, ten cowboy z Sumatry!..

— Zdaje się, że przywiózł z Sumatry harem.

— Ach, nie, to byłoby interesujące!

— Gdzie on właściwie mieszka?

— Ma willę w francuskiej koncesji.

— Czyby nie należało donieść francuskim władzom...

O Lilit też prowadzono rozmowy podobne. Początkowo milczała i usiłowała zapanować nad sobą. Ale naraz przerosło to ją samą. W czasie uwag czynionych przez pewnego Anglika wtrąciła: — Jest coś, mój kochany sir, co więcej znaczy niż pański kwaśny temperament. A to nazywa się koleżeństwem. Jesteśmy z panem Neyem dobrymi przyjaciółmi. Chodzę codzień do szpitala, aby dowiedzieć się o jego zdrowiu. Mogę oświadczyć panu, że przygoda nie grozi mu utratą życia i że będzie miał pan wkrótce sposobność zawiadomić go osobiście o pobudkach swego zainteresowania jego życiem. Dobra noc.

Odeszła.

Przez dzień jeden zdawało się, że ta mowa Lilit w Country Clubie, która zaintrygowała europejskie i amerykańskie sfery, wybuchnie skandalem, ogarniającym całą ludność europejską Szanghaju. Czem była ta dziewczyna, po za swą elegancją i pięknością? Widywano ją wszędzie. Nie wiedziano kim jest. Samo jej zjawienie się otwierało jej wszystkie drzwi. Zanim zamknięto je demonstracyjnie przed nią, informowano się o nią w konsulatach. Wreszcie w amerykańskim ciekawość się opłaciła. Usłyszano, że ojciec jej jest amerykańskim Niemcem, „królem zachodniego trustu drzewnego".

Wówczas otworzono drzwi, a Ney zyskał w opinji publicznej. Lilit zaś stała się księżniczką europejskiego Szanghaju.

Dji Fa San prosił kompradora o odwiedziny. Stało się to w kilka dni po nieszczęściu Neya.

Dji rzekł: — Twój oddany ci bardzo przyjaciel, jest czemś zatroskany. Czy może on zwierzyć się swemu czcigodnemu, uczonemu przyjacielowi ze swego kłopotu?

Nung skłonił się po ojcowsku staremu znajomemu.

— A czy mój książę, że rozgniewa się na swego sługę, gdy otwarcie, nawet bardzo otwarcie przemówi do swego godnego przyjaciela?

— Sługa twój gotów jest na wszystkie słowa!— odparł Nung.

— O, człowieku, który stoi bardzo blisko tego, kogo moja małość pokornie czci? – mówił dalej Dji.

— Jesteś głosem wspaniałym! Ja zaś tylko skromnie słuchającem uchem!

— Nie podoba mi się, jeśli wysokość twoja pozwoli na to słowo swemu zbyt hardemu słudze, nie podoba mi się to, co uczynił europejski kupiec. Jeśli dozwolonem byłoby twemu umierającemu z szacunku i miłości do ciebie parobkowi, mówić tak prosto z mostu. To, co zrobił nie ma formy.

Lecz Nung odpowiedział spokojnie i z powagą:— Czując się niższy we wszystkiem od swego wielkiego przyjaciela, z wyjątkiem miłości do niego, odważają się moje skromne usta przciwstawić twoim słusznym słowom: Jesteśmy Wschodem; kupiec jest Zachodem. To, co uczynił nie było zrobione przeciw Wschodowi, ale z Zachodem. Myśli i wyobrażenia leżą głęboko skryte, jak tajemnicze owoce w łupinie. Owoce należą do ich posiadaczy. Nie naruszajmy i nie zrywajmy łupiny, która nas nic nie obchodzi. Twemu służącemu ci przyjacielowi nie pozostawałoby nic innego, jak zrezygno-

wać z wszelkiej radości na tym świecie jasnych dni, gdyby nieszczęście kupca miało się stać przyczyną zerwania przez mojego najczcigodniejszego i najmędrszego przyjaciela naszych stosunków.

W ten sposób sprawa dla Dji była skończona. Czekał na wyzdrowienie obcego pana, aby prowadzić dalej rozpoczęte stosunki.

* * *

Co noc przychodziła Mela do szpitala.

Słysząc kroki, kuliła się w wąskiej przestrzeni między ścianą a łóżkiem; ciało jej zmieniało się w nicość, w tchnienie; zamierał w niej każdy szelest członków i oddech! Bezcielesna jak cień, bezgłośna jak śmierć zapadała w wąski otwór, gdy fantazja i dusza wyrastała ogromna ponad łóżkiem, broniąc go przed obcemi duchami.

Gdy była bezpieczna, wysuwała się, kucała na kolanach i patrzyła na pana. Widziała w ciemności głowę owiniętą wysoko w białe bandaże i delikatnie gładziła brunatną ręką niby puchem powietrze ponad nią. Ney spał ciągle w napół-omdleniu. Mela przemawiała niemym głosem do leżącego. Pantera nie żyje, mówiła z radością do siebie. Ale jej dusza dziewiczej puszczy zapisała się swemi zębami i pazurami w twojej krwi, mój słodki panie. Teraz Mela cię odzyskała.

Od czasu do czasu budził się Ney słabo i miał niejasną świadomość obecności malajki pod dygocącym płomieniem lampy nocnej na skraju swego łóżka. Duchy życia jego były całkiem zajęte sprawą wewnętrzną, oddane odnawianiu straconej krwi. Brakło mu siły do zainteresowania się rzeczami, leżącemi poza obiegiem krwi, a zdawało mu się,

gdy patrzył na nią, że Mela jest przy nim. Lekko zanurzał się znowu w kraj płynących cieni a z bagnistych rojeń jego febry wynurzała się malajka w nowej postaci. Jako czarny, wyolbrzymiony kowal, obkuwający jego serce, który stawał się potem niezmiernem i ogromnem zwierzęciem, gorylem wielkim jak skały, pełnym żądzy mordu i tęsknoty palącej jego krwi. Zaraz runie na niego. Ale już nie był to goryl. Była to Mela, zwinna, stalowa struna, odskakujące zwierzę. A tęsknota jego skakała za tem zanikającem widmem. Wpadał w długą, wąską przepaść i znów wydobywał się z niej, pędził za niem, a gdy je złapał, była to Lilit. Nie, nie była to biała Lilit, był to brunatno-biały zlew marmuru na przewspaniałem, bijącem pod gwiazdy szatańskiem ciele zwierzęcia... Aż krew i forma tej zmory zatracała się pod wpływem spokojnego snu, a ciało chorego w śnie tym walczyło o nowe siły.

Pewnej nocy odkryto Melę. Okno przez które wchodziła na pierwsze piętro, zawsze dotychczas w nocy otwarte, było zamknięte. Musiała szukać innego wejścia. Straciła przy tem wiele czasu i weszła do pokoju akurat, gdy lekarz odbywał nocną wizytację. Lekarz przestraszył się bronzowego cienia, który podniósł się nagle nieruchomy w napół oświetlonych drzwiach.

— Co robisz tutaj?—zapytał ją surowo.

— To mój pan!—odrzekła Mela dumnie ze strachem.

— Nie masz tu nic do roboty, marsz!

— To jest mój pan!—upierała się Mela.

Lekarz zadzwonił na chińskiego dozorcę. Zła jak kot dała się wyprowadzić, straszna, oporna

i gniewna, pozostawiając za sobą zaklinające ruchy swych ciemnych, połyskujących rąk w powietrzu.

Następnej nocy przyszła znowu i rozbijała się na wiele postaci, raz pomieszana z Lilit, raz zwierzęca, gwałcąca sny chorego. Zaś w Neyu po przejściu kryzysu, zwyciężyło zdrowie serca i tkanek swą potęgą i wytrwałością a ozdrowienie i rekonwalescencja przeszły oczekiwanie lekarzy. Pewnego dnia mogli mu oświadczyć:

— Może pan przyjmować odwiedziny.

Przy tych słowach zaśpiewały jego członki. Niby psalm, jak chorał, jak hymn, jak symfonja w niewyczerpanych akordach kształtowało się imię Lilit w jego fantazji, grało obrazem złotej, kędzierzawej główki przed jego oczyma, łechtało słodkim altem głosu jego uszy. Nie, nie każe jej zawiadamiać, że może przyjść. Będzie czekał, aż przyjdzie sama, a serce jego ogarnie takie szczęście, iż zapłacze.

Zameldowano mu, że są odwiedziny. Czy życzy sobie.

Skinął chciwie, nie prosząc o podanie nazwiska i zamknął oczy w wyczekiwaniu. Otworzy oczy, gdy dokona się cud przy jego łóżku i stanie przy niem złota Lilit.

Po chwili usłyszał kroki, głosy, lekkie, później szelest sukni. Czekał jeszcze. Panowała cisza. Naraz rozwarł oczy.

O trzy kroki od łóżka spostrzegł na środku pokoju smukłą kobietę. Była czarno ubrana, suknie leżały na niej ciasno, a na głowie miała kapelusz wokoło którego, na szerokiem rondzie opadał w fałdach, niby zasłona przed świętością, czarny woal żałobny, który zakrywał oblicze i był zarzucony na ramiona.

Czy to Lilit, zapytywał się wątpiąco. walcząc z zawodem i oczekiwaniem, rozważając możliwości i niemożliwości.

— Panie Ney — wyszeptał głos.—To ja, Wilms. Wyjechałam... od... tego dnia. Przybyłam dziś rano na japońskim parowcu i dowiedziałam się o pańskim wypadku. Chciałam pana zaraz zobaczyć.

Dwie myśli przeleciały jak padające kamienie przez jego głowę. Jeden: To nie była Lilit. A drugi zgniły trup z mrocznego salonu. Pytanie: Czy ona jeszcze nie jest w więzieniu?

Nie mógł ukryć zawodu i przestrachu w swym znużonym przez pracę odnawiania krwi mózgu. Cicho powiedział: — Jestem jeszcze tak słaby.

— Odchodzę—powiedziała trwożnie pani Wilms.— Niech pan będzie jak najprędzej znów całkiem zdrowy.

Potem wyszła skromnie, z głową opuszczoną w czarny woal,

Tego ranka rzekł służący Neya do Meli:—Trzeba iść do pana. Zostaniesz tu, czarna wszo! Idę prędko!

Mela zaśmiała się szyderczo. Do kogoż należały jego noce od dwu miesięcy... Idż, straszydło bez oczu, leć!

Widząc oddalającego się Chińczyka, rzekła do siebie:

— Teraz pójdzie do niego złota panna. Znajdzie tylko pustą łodygę, z której wyciśnięto rdzeń, kwiat, któremu odebrano woń, skrzypki miłosne z porwanemi strunami. Kto — śpiewała głośno w języku ojczyzny swej — kto posiada ten rdzeń. woń pieśni ma na strunach? Kto?..

— Mela... a... a to imię malajskiej dziewczyny...

— Chińczyk wsiadł do rikszy i popędzał kulisa. Przy bramie szpitala spotkał się z kompradorem Nung Tszi Tongiem. Ukłonił się nisko i przepuścił przed sobą starszego pana z wyższej kasty. Kroczył za nim w odstępie z poważaniem i lekko.

Po godzinie przybył konsul. Po nim kilku kupców, dyrektor banku...

A gdy przyszła Lilit, musiał już lekarz zabronić na ten dzień odwiedzin dla dobra pacjenta, wyczerpanego wizytami. Przyrzekł jej jednak puścić ją do niego wieczorem. Zapadł zmierzch, gdy Lilit przybyła do szpitala. Pokój Neya pełny był gęstniejącej szarości. Okno do ogrodu było otwarte; mocne zapachy wieczorne kwiecia wtargnęły do wnętrza wraz z Lilit. Gdy dziewczę podeszło do niego, miał oczy odwrócone i ręce przed sobą. Zdjęła rękawiczki, położyła swe ręce nagie i delikatne na jego, okryte jeszcze gęsto szramami po walce z panterą. Żadne nie rzekło słowa.

Lilit nachyliła się nad nim przez chwilę, potem rzekła: „Jak się pan ma?“ Teraz dopiero otworzył Ney oczy i spojrzał na nią. Uczynił rękami gest uszczęśliwienia.

Znów oboje zamilkli. Ney patrzył w sufit, na którym rysowały się grające w ciemności rzeczy o znikomych kształtach. Lilit patrzyła ponad łóżko w przestrzeń, w której wyrastało coś, co wyglądało jak życie.

„Chciałbym znów móc pracować!“ rzekł nagle Ney. Po długiej przerwie wymawiał imię, pełny pożądania i oszołomiony: „Lilit!“

Lilit położyła w delikatnej pieszczocie swą rękę na jego obandażowane czoło. Więcej nie mówili. Przyszedł lekarz, a Lilit odeszła z powłóczystem spojrzeniem.

*
* *

Ozdrowienie postępowało coraz szybciej. Wstał już i godzinami przebywał z Lilit, w międzyczasie zaś z innymi znajomymi; od czasu do czasu sam na leżaku w ogrodzie lub pokoju. Słyszał hałas z Su Tszan Creek i właścicieli dżunek. Lato wtargnęło do miasta. Zapachy kwitnących drzew mięszały się ze smrodem przystani, gdy był odpływ. Podczas przypływu, mógł Ney widzieć przez murek okrągłe daszki łodzi i wdychał świeżą woń wody, pachnącej odartemi z kory gałęźmi, zapachem jego lat dziecięcych.

Odwiedzał go też Dji Fa San, wyrażał mu w wielu napuszonych słowach swe współczucie i życzenia, ale o dawnych planach nie wspominał ani słowem. Ney był zaniepokojony. O wiele cięższej znosił od czasu odwiedzin Dji myśl, że nie może pracować, że jest ciągle inwalidą i musi się oszczędzać. Ale jeśli lekarze mogli zabronić mu rozmów o interesach, nie zdołali zamknąć drzwi przed wyobraźnią i duchem. Ciągle jednak zdawało mu się, że upadły możliwości jego planów, podczas tego jak leżał przykuty do łóżka. Pełen obawy wyczekiwał na to, co miało stać się nazewnątrz.

W końcu postanowił, gdy niepokój coraz wzrastał, pomówić z Lilit znowu o planach. Podzielił się z nią troską na temat zachowania się Dji. Lilit odeszła ze złotą głową pełną myśli. Gdy została sama, stało się jej wszystko jasne. Powzięła decyzję; pójdzie do Dji, bez wiedzy Neya i pomówi o sprawach niepokojących Neya.

Zaraz nazajutrz urzeczywistniła swój plan. Przez posłańca prosiła go o zgodę na odwiedziny.

Dji mieszkał w pięknym, obszernym domu przy ogrodzie Tszang-Si. Lecz posłaniec przyniósł odpowiedź: Jakże mógłby Dji, nędzny niewolnik cudzoziemskiej, szlachetnej damy pozwolić, aby trudziła się wędrówką do jego ubogiego domu. Prosi o łaskę, aby mógł złożyć swe uszanowanie księżniczce w jej hotelu. Lilit zaprosiła go na godziny popołudniowe.

Trzech tragarzy lektyki przyniosło starego pana do hotelu Kali.

Jeden służący kroczył naprzód, drugi z tyłu. W salonie przyjęła go Lilit. Miała na sobie białą koronkową suknię. Bez ogródek powiedziała mu co miała zamiar, jaki to Ney jest dzielny człowiek, jakie posiada wielkie plany, i jak bardzo cierpi wskutek niemocy realizowania ich teraz. Choroba osłabiła go i napełniła mózg jego troskami, do których rozproszenia wystarczyłoby jedno słowo pana Dji.

Czy pani jest małżonką pana Neya? zapytał po uprzejmych uśmiechach Dji grzecznym tonem".

Wówczas Lilit, mając nadzieję osiągnąć przez tę odpowiedź cel, odparła szybko zdecydowana: „Tak".

„Co za radość i cześć", odrzekł Dji kłaniając się.

„Niech mi pan pozwoli uczestniczyć w tej radości", uśmiechnęła się Lilit „posyłając panu Neyowi przezemnie kilka słów o swoim stosunku do jego planów". Dji śmiał się w wyszukanej formie, obco.

„Cieszę się tak bardzo" mówił „że pan Ney jest na drodze do wyzdrowienia".

„Przyśpieszyłby pan to ozdrowienie", odparła

Lilit, „gdyby mu pan zapewnił swe dalsze zainteresowanie się jego dziełem“.

„Umrzeć zdala od ziemi ojczystej, byłoby strasznem nieszczęściem“ , twierdził Dji, i patrzył szeroko i wytwornie przed siebie, zatrzymując grzeczny uśmiech z ledwością w fałdach swego oblicza.

„Pan Ney ma twardą naturę. Będzie mógł wkrótce wytężyć wszystkie swe siły w kierunku swych przedsięwzięć,“ mówiła Lilit z uporem. „Oczekuje też od swych chińskich przyjaciół, że będą go nadal darzyli swem zaufaniem“.

„Wasza Ojczyzna jest o wiele piękniejsza i bogatsza niż biedne państwo środka?“ mówił Dji, a jego stara twarz przybrała znów wszystkie zmarszczki uśmiechu grzeczności, którą Lilit tajemnie przeklinała. Teraz dopiero zrozumiała. Dla tego starego chińskiego pana kobiety w interesach były rzeczą niedopuszczalną. Pozwalał atakom jej spływać przez grzeczne uchylanie się. Lilit brała sytuację, w którą wplątała się sama, z humorem, mówiła o Kantonie i o pięknościach chińskiej sztuki rzemieślniczej, później zaś przeprosiła, że tak długo korzystała z czasu pana Dji. Powstała i rzekła z uśmiechem, dobrotliwie: „Dziękuję panu za pańską interesującą rozmowę“.

Dji skłonił się.

Naraz przyszło Lilit do głowy, że mogła przez swe niewłaściwe wtrącenie się do interesów Neya zaszkodzić mu u Chińczyka. Przystąpiła bliżej do Dji, i rzekła, pan Ney nie wie nic o tem, że rozmawiałam z panem. Nie dostrzegła, by słowa jej wywarły wrażenie jakieś na starego pana. Uśmiechał się jak przedtem. Lecz zdawało się jej, jakby ukłony jego były uroczystsze. Dji Fa San odszedł i wierzył jej. Odszedł z ulgą. Szanował europej-

skiego kupca. Cieszył się, że podejrzenie żywione poprzednio, iż tamten mógł mu nasłać żonę z ubocznym celem, było nieuzasadnione. Gdyż z Europejczykami trzeba mieć się stale na baczności i strzec się, ponieważ uważają rzeczy niemożliwe za możliwe.

Z uroczystem obliczem przeszedł hallę, w której czekali dwaj służący, Tragarze lektyki podskoczyli do drągów, Đji Fa San siedział w krześle jak posąg: Sztuki i Życia! Broda jego spływała prosto w starannych, wąskich pasmach, biała na czarnym błyszczącym jedwabiu wierzchniej sukni, przeświecającej z pod pasem brody. Tak niesiono go poprzez dzielnice europejskie i chińskie do jego odległego domu przy ogrodzie Tszang - Si, dokąd przybył wraz z zapadającym zmierzchem.

---

## V

W nocy Mela była zawsze przy łóżku pana. Po dziesiątej godzinie nie było już żadnych wizyt. Gdy Ney obudził się, ujrzał w niepewnem świetle lampy ciemny cień dziewczyny kucnięty bez ruchu na ziemi i poczuł ostry zapach jej ciała. To go uraziło. Nie potrzebował więcej nocnego stróżowania.

Pewnego dnia rzekł do lekarza: — Panie doktorze, nie potrzebuję nikogo do dyspozycji. Mogę się sam obsługiwać.

Lekarz zapytał zdumiony: — Od dłuższego czasu przecież zniosłem nocne dyżury przy panu? —

Wówczas Ney odgadł. Pomyślał o Lilit i nie chciał podawać na ludzkie języki niepotrzebnie malajską dziewczynę. Postanowił sam wyjaśnić Meli sytuację i odpowiedział lekarzowi tylko nawiasem: — Tak, więc omyliłem się! Zdawało mi się, jakby ktoś był tej nocy w pokoju.

Gdy Mela przyszła w nocy, rzekł do niej: — Mela jestem prawie zdrów. Nie masz potrzeby przychodzić więcej pilnować mnie w nocy.

— To nie dlatego, Tuanie. Wiesz przecież! — odrzekła Mela radośnie. Mówił z nią... pierwsze słowo... od czasu przygody z panterą!

Ney jednak odparł niechętnie: — Nie życzę sobie!

Mela słuchała z osłupieniem. Czekała w milczeniu.

— Idź! — krzyknął pan.

W uszach jej szumiało. Czy słyszała błędnie? Co pan powiedział? Skulona siedziała, natężając słuch.

— Co powiedziałem? — zapytał Ney ze złością. — Masz odejść! Zaraz! — Wówczas podniosła się przestraszona, leniwo i wbrew woli. — Tuanie! — wyszeptała.

Ale Ney nie odpowiadał więcej, patrzył tylko na nią niechętnie.

Wyszła przez drzwi do sieni, wdrapała się na okno, zlazła po rynnie i poszła wzburzona do domu. Na ulicach Szanghaju panowało jeszcze trochę życia. Kilku chińskich nocnych handlarzy spieszyło ze swymi ładunkami na drągach z nasadzoną latarnią, wabiąc głośnem wołaniem rzadko rozsypane grupki ludzi, dojrzane w głębi ulicy.

Napróżno wytężyła myśl swoją, aby pojąć co się stało. Noc w noc siedziała przy łóżku Tuana oplątując go falami swych tajemniczych myśli. Zachowywał się wobec tego milcząco. Głuchy i cichy leżał pod jej niesamowitemi słowy, jak kawał lasu, w który wszeptuje się nocą swe ukryte życzenia.

W domu Mela wślizgnęła się do stajni pantery i położyła się w słomie, którą świeżo rozsypała. Z ziemi dobywało się, słabo i drażniąco, coś z ostrego zapachu zwierzęcia, zapachu jej ojczyzny. Był to seraficki zapach durianu i jego piekielny smród i coś z kleistego, miękkiego, niebiańskiego smaku małych złocistych bananów... i jeszcze coś, czego poznać i nazwać nie mogła, co jednak przepływało niby mglisto - złota kula przez wszystkie obrazy, które zjawiały się w jej wyobraźni. Wkrótce za-

snęła i leżała dręczona przez sny aż do nocnej godziny, o której zwykła iść do pana.

Obudziwszy, się powstała i pobiegła do miasta w stronę szpitala. Lecz nagle, jak zatrzymana przez rękę ducha, stanęła. Słowa Tuaua tkwiły jej w uszach, przemożne i wyraźne, skąpe i wrogie. Zawróciła.

* *
*

Następnego ranka Mela udała się do szpitala. Służący dał jej polecenie do pana, które miała natychmiast wykonać. Poprowadzono ją do niego. Siedział na plecionym fotelu w ogrodzie, a obok niego stała złota panna i patrzyła na niego oczami, których spojrzenie uderzało Melę w serce. Pan wziął list, i prócz powitania nie miał dla niej żadnego słowa.

Czytał. Stała obok nich. Europejka spojrzała na nią. Mela odpowiedziała spojrzeniem. Odpowiedziała wielkiemi, nieruchomemi oczami. Pan rzekł: — Dobrze! — Stała.

— Możesz odejść! — rzekł pan.

Odeszła więc jak jaszczurka, spędzona ze swego słonecznego kamienia.

Nazajutrz złota panna była znów przy nim. Mela widziała to z ulicy.

Wkrótce Ney mógł opuścić szpital. Na dzień przedtem przyszła Lilit do domu Neya i z pomocą chińskiego służącego przybrała wejście i hallę girlandami, srebrnemi nićmi, roślinnością i kwiatami. Mela patrzyła na to z ogrodu ponuro i boleśnie. Nie doszła jeszcze do porządku nad tem co się działo,

Lilit, ujrzawszy malajską dziewczynę, zawołała: Mela! —

Ale Mela udała, że nie słyszy. Odwróciła się i zniknęła. Lilit zmartwiła się tem. Pojęła, że pokrzyżowała drogi tego obcego, prostego serca kobiecego. Łagodne współczucie pociągnęło ją do niej. Była z nią związana przez serce, które biło dla uratowanego i nie mogła pozwolić, by te wspólne, przekraczające granice ras, uczucia miały być zniweczone przez wrogi stosunek, w którym sama nie brała udziału. Postanowiła zdobyć Melę dla siebie a skromna prostota serca dawała jej przekonanie, że uda jej się zjednać sobie to dziecię natury i zwalczyć dzielące uczucia.

Zapytała służącego, gdzie jest Mela. Powiedział, że ją przyprowadzi do pani. Lilit czekała w gabinecie Neya.

Mela uciekła od Lilit do ogrodu i czując, że nie jest obserwowana, wślizgnęła się do stajni pantery. Służący szukał w izdebce, nie było jej. Często widywał ją w dawnej stajni pantery i udał się tam. Otworzył drzwi i zawołał do środka: — Plugawe ścierwo barbarzyńskie, masz iść do białej pani. —

Mela milczała nierucoma.

— Czy nie słyszysz rzekł Chinczyk. Prędko bo cię zaniosę tam.

Mela nie wydała dzwięku.

— Ty okruchu brunatnego błota, przecież cię widzę. Nie udawaj... krzyczał Chińczyk. Ale już wszedł do środka. Był to atletycznie zbudowany chłop; macał w ciemności, gdzie dojrzał zarys leżącej i wyciągnął ją. Wydobywszy ją opasał jej obie ręce swą lewą, chwycił ją prawą z tyłu za włosy i niósł przez ogród.

Mela nie była przygotowana na tę czynność. Ule-

gając głucho, była była posłuszna silnym, gwałcącym rękom, które wlokły ją przez ogród. Chińczyk wrzucił ją przez drzwi do pokoju, gdzie znajdowała biała dama i rzekł: — oto jest!

Stał poza nią. Lilit rzekła do niego spokojnie i z łagodną uprzejmością:

— Dziękuję boy, możesz odejść!

Chińczyk zwlekał.

— To nie będzie dobrze, jeśli panią zostawię samą, rzekł po chwili.

— Dlaczego? zapytała przyjaźnie Lilit, usiłując schwytać wzrok Meli.

Mela stała blisko drzwi, wciągnęła głowę między ramiona i zamknęła oczy.

Lilit widziała, jak pod wielkiem sklepieniem spuszczonych powiek latały jej niespokojne oczy. Doznała nagle wrażenie, że poza temi powiekami biegają dwa tygrysy, czekające na łup, na jeden i ten sam łup.

Przeraziła się tej myśli. Mimo to zapytała serdecznie: — Nieprawda, Mela, niech zostawi nas same, mamy z sobą do pomówienia, ty i ja, całkiem same.

Mela była niema, z oczami ciągle zamkniętemi. Pod powiekami jej drżały oczy tam i sam z niezwykłą dzikością. Lilit poczuła się dziwnie i opanowana trwogą rzekła mimowoli: — O panu Ney, nieprawda?

W tej chwili ujrzała, że w łydkach dziewczyny skoczyły muskuły. Zaraz po tem zdawało jej się, jakby brunatne, owinięte ciało niby drapieżny wielki ptak naleciało na nią, z straszliwie nastawionemi szponami... Uskoczyła w bok. Ciało malajki przeleciało mimo i padło na dywan.

Jedna tylko ręka dosięgła bluzki Lilit i wydarła

szmatę. Lecz służący był już przy dziewczynie, zamknął jej ramiona w swe ręce, podniósł do góry i poniósł ku drzwiom.

— A co nie powiedziałem pani! zawołał. Potem wyszedł z Melą i zamknął drzwi. Mela pozwoliła mu prowadzić się bez oporu. Trzymał ją przed sobą i zaniósł ją przez ogród do ulicy, potem wyrzucił przez furtkę.

— Żryj błoto, ohydny ścierwojadzie! rzekł i obojętnie wrócił do domu. Mela błąkała się po mieście; później stała przy szpitalu.

Lilit siedziała, oddana rozhulanym myślom, bez ruchu długi czas w pokoju.

Jakiej zdobyczy szukały zamknięte pod powiekami tygrysy, tygrysy duszy malajskiej dziewczyny? Kogoż innego mogły szukać one jak nie Neya?

Po co? Po co? Czego chciały od niego. Co on im zrobił? Dusza Lilit zmęczyła się temi straszliwemi obrazami. Spędziła życie swoje wśród lasów, lasów Colorado, należących do swego ojca i wśród hotelów, w których bywa cały świat i bierze od bliskich tylko rozkosz, tyle rozkoszy, ile tylko dać jej można... Po raz pierwszy w swem życiu była Lilit przerażona.

Dotknęła ręką strzępów wiszących z bluzki i doznała uczucia, jakby to był kawał jej serca.

Uratowała życie mężczyznie, wzięła krew jego w swą chustkę. Ale nie była to chusteczka, to było serce. Teraz wiedziała o tem. Serce zostało draśnięte, aby mogła w nie wpłynąć krew.

Naraz poczuła się silna. Bez namysłu wyszła z pokoju, rozkazała sprowadzić służącemu rikszę i udała się do hotelu, aby się przebrać i powrócić wieczorem do domu, w którym oczekiwał ją jej los. O Meli zapomniała.

* * *

Ney nosił jeszcze przepaskę na głowie i jedno ramię w bandażu, pod którym goiły się ostatnie rany. Reszta już się zagoiła. Po południu odjechał ze szpitala do domu. Zastał dekorację i wiedział, komu ma to zawdzięczać. Oczekiwał Lilit.

Przyszedł pierwszy służący i rzekł: — Przybędzie towarzystwo panów na wieczór!

— Po co? Czego chcą? zapytał zdziwiony Ney.

— Pragną uczcić wyzdrowienie pana! odrzekł Chińczyk.

— Ach tak, pomyślał Ney, to przecież naturalne. Zapytał: — Czy kucharz ma dyspozycje?

— Tak jest, przygotował dla pietnastu panów! Pierwszym gościem, który przyszedł, bardzo wcześnie, — nie było jeszcze szóstej, — był van der Ceken; był to syn Belga i Japonki.

— Czego chce ten człowiek odemnie? pytał się Ney, gdy tamten wszedł.

Nie widział go nawet cztery razy

— Hallo, Ney! zawołał van Ceken. Pogromco panter! o zrobił to pan wspaniale, winszuję panu. Jest to obiecujące dla pańskiej kompanji. Jestem do pańskiej dyspozycji. Ale wie pan, poco brać do tego Chińczyków, to przecież wszytko razem świnie. Przecież to nie jest potrzebne. Człowiek taki jak pan może to zrobić z równymi sobie!

—Co pan uważa? zapytał chłodno Ney.

Nigdy nie starał się o usługi tego pana, i nie rozmawiał z nim o swych planach.

Tamten zaś przez wejście nowych gości został pozbawiony możności odpowiedzi. W ciągu następnej pół godziny przybyło dwunastu, czternastu, szesnastu panów. Udano się do stołu. Pito zdrowie

Neya. On sam, gospodarz ale nie zapraszający, oddał się radości nad odzyskaną wolnością i dał się porwać wirowi, wywołanemu przez pijaństwo. Uczuł znów, że wstępuje w żyły jego coś, co było dalekie podczas pobytu w szpitalu, febra malaryczna. Lecz w zarodku dawała ona wyobraźni powab i skrzydła. Słowa jego były bujne, pełne humoru, opowiadał o swych wędrówkach po świecie, o dziewczętach Austryalji i dzieciach natury na Sumatrze.

Naraz ujrzał podczas opowiadania przed oknem w ciemnościach nocy, stojącą Melę. Patrzyła wielkiemi, nieruchomemi oczami do wnętrza.

W białej szybie płonęły stężałe gwiazdy oczu jak płonące kule ogniste.

Zatrzymał się w pół słowa. Przeraził się. Opadły go posępne wspomniania groźby. przeszły go przeczucia, że dziewczyna stała w związku z jego wypadkiem. Nie mógł wyjaśnić sobie ich powstania istoty i pochodzenia. Drażniło go to.

— Jutro musi odejść! — rzekł do siebie rozgorączkowany gniewem.

Twarz w ciemności zniknęła.

Ale Ney czuł, że opanowało go natychmiast wyczerpujące osłabienie. Lekarz jego był między gośćmi. Zauważył to i dał znak do odejścia. Poszli wszyscy razem.

Ney zostawszy sam w jadalni, gdzie goście siedzieli aż do odejścia, poczuł się jakby po jakimś straszliwym czynie.

Gdzie była Lilit? Ozdobiła mu dom, do niej powinien był należeć ten wieczór, spędzony na opowiadaniu przygód miłosnych z obcymi ludźmi. Zapomniał o niej. Był zrozpaczony. Głowa płonęła mu tlejącym żarem. Dręczące, burzliwe myśli opadły

jego znużony jeszcze po rekonwalescencji i obolały w zaczątkach malarji mózg.

* *
*

Lilit przebrała się powoli i skierowała się o zapadającym zmierzchu w stronę domu Neya. Wszedłszy, ujrzała w halli na wieszaku stos obcych kapeluszy. Słyszała głosy gości i zawołała służącego.

— Kto jest u pana Neya? — zapytała.

— Przyjmuje towarzystwo — rzekł służący. — Panowie jedzą właśnie kolację.

Lilit zakłopotała się, czyżby o niej zapomniał? Czyż nie znaczyła nic w takim dniu? W dniu, do którego mu dopomogła? Na który wyczekiwała od trzech tygodni? Łzy obrazy nabiegły do jej jasnych oczu. Odwróciła się, osuszyła je i gdy służący wrócił, zapytała — Czy powiedziałeś panu, że jestem tutaj?

— Nie, pani! — odparł Chińczyk.

— Nie masz tego mówić, słyszysz!

— Nie, pani!

— Dobranoc! — rzekła Lilit i zwróciła się ku wyjściu. Służący odprowadził ją do drzwi.

— Dobrze, moja riksza czeka na dworze — rzekła Lilit. Służący zniknął w kuchni. Wówczas Lilit wbiegła jak strzała do halli, przesunęła się przy ścianie w głąb przejścia, prowadzącego do gabinetu Neya, wybrała z szafy bibljotecznej książkę, przysunęła lampę do fotelu i zaczęła czytać, oczekując. Hałas pijących wdzierał się tutaj. Od czasu do czasu chwytała strzępy rozmowy. Początkowo z trudem zmuszała się do czytania. Ale była pewna swego. Czytała spokojnie i poważnie, oczekując ze stanowczością. Gdy usłyszała odchodzących gości, pozo-

stała w fotelu tak, jak poprzednio, nie wypuszczając książki z ręki. Ney powoli szedł z jadalni.

— To dziwne — mówił do siebie — przedtem zdawało się, że febra malaryczna wróci, teraz ustała. Głowa moja jest wolna i chłodna, a członki spokojne.

Wiedział już z długoletniego doświadczenia, że febra może się ukryć na całe godziny, a później jednak wybuchnie. Na wszelki wypadek chciał wziąć chininę i położyć się do łóżka. Chętniej jeszcze byłby pojechał natychmiast do Kali, by wywołać Lilit z pokoju i powiedzieć jej — Nie wiem, co się dziś stało. Naturalnie, że ten pierwszy wieczór powrotu do domu należy do pani. Ponieważ... kocham panią! — Jakże inaczej miałby powiedzieć. Wyobrażał to sobie, przechodząc hallę i idąc do swego gabinetu, przez który przechodziło się do sypialni. Wszedł, pochłonięty myślami o Lilit.

Światło płonęło w pokoju. Mówił do siebie, zamykając drzwi starannie — chiński służący niczego nie zapomni. — Boy poszedł zaraz zapalić światło, gdy ujrzał, że goście odeszli.

Gdy chciał udać się do fotelu, siedział tam już ktoś z książką w ręku. Światło grało we wzburzonych, blado złotych włosach. Jakaś twarz uśmiechnęła się, słodko i naturalnie do niego.

— Lilit! — krzyknął Ney.

— Dobry wieczór! — rzekła Lilit. — Nie ma pan potrzeby dziwić się, że siedzę tutaj. Czy sądzi pan, Niko, że pozwolę sobie zabrać cały dzień zdrowia? Miał pan gości, nie chciałam przeszkadzać. Gdy panowie rozmawiają o malajskich dziewczętach nie lubią obecności dam. Wiem o tem!

Ney zbladł z radosnego bólu, który zadrgał w jego krwi. Chwilę stał na drżących nogach. Oczy jego

spoczywały na złotej głowie dziewczęcia. Potem zbliżył się do niej, ukląkł przy fotelu, wziął złotą głowę w ramiona i przycisnął usta do ust dziewczyny, która poddała się słodko i upajająco. Gdy podniósł się, Lilit płakała.

— Nie będziesz przy mnie płakała więcej, Lilit — rzekł Ney.

Ujął jej rękę i całował wzdłuż.

Około północy Lilit odjechała do domu. Kazała czekać rikszy.

Ney położył się do łóżka, zmęczony na całem ciele tym pierwszym dniem pobytu w domu, w głębi drżący i oddany bez tchu myślom o pięknej dziewczynie, którą kochał, która jego kochała i z którą tak nagle się zaręczył. Pierwszy trwożny sen podniósł w krwi miękkiej jeszcze wskutek rekonwalescencji płoche sny, z których budził się ciągle przestraszony. W końcu zauważył, że przerwana poprzednio febra hula w nim w całej pełni. Chciał wstać i wziąć chininę, o której zapomniał. Lecz wszystkie członki były przykute do łóżka, jak ołowianemi kajdanami. Leżał więc. Nawet nie mógł zgasić światła. Febra trzęsła nim. Ciało jego dygotało pod jej naporem. Później, zagłuszony nią stracił przytomność i wpadł w stan podobny do snu.

Około drugiej w nocy otwarły się bezszelestnie drzwi sypialni. Ciemny cień wślizgnął się, jak liść wpędzony przez wiatr do pokoju. Była to Mela. Znajdowała się w stanie rozmarzonego podrażnienia. Stopy jej ledwie dotykały ziemi, gdy podchodziła do łóżka. Zagasiła lampę nocną na stole. Później przeczekała wyprostowana i zamarła chwilkę przy łóżku.

Naraz schyliła się nie poruszając okrycia i opuściła sarong. Z szelestem liści opadł on z jej piersi

i bioder i tak stała ciemna i połyskliwa w wątłem świetle nocy, wciskającem się przez białe zasłony. Ciałem jej miotał dygot.

Zdawało jej się, że kąpie się w gotującej się na równiku ziemi dziewiczego lasu na Sumatrze i z ciemną masą myśli o tej ziemi w swojej piersi zaczęła zaklęcia. Posępne wizje miotały nią jak burza gałęźmi wysokich, rozległych drzew pszczelich w ojczyźnie. Wydobywała wszystkie tajemnice skryte w swej krwi i zdawało się jej, że tak jak huragany spadają z chmur, otaczających dymiący Sinambung, po brzegach lesistej wyżyny, tak samo mord przelewał się z jej krwi i stapiał ją z roślinami, zwierzętami, rzekami leśnemi i czarną ziemią ojczyzny w jedno, w coś co nie było ni przeszłością ni przyszłością, ale misterjum drugiej strony wszystkich spraw życia.

Ciało jej zwijało się powoli pod naporem wewnętrznych obrazów, w drgających, długotrwałych, ogarniających wszystkie członki zgięciach. Ramiona jej nabrały jakby niezależnego życia i bez odrywania nóg od podłogi wpadła w niemy przeciągły i święty taniec. Nagle przerwała taniec i z lekkim okrzykiem — Tuanie! — padła na ziemię. Ogarnęła ją głęboka niemoc i tak leżała.

Z istoty, która schylała się nad nim w złowieszczym tańcu przeszło coś do przerywanych febrą snów Neya. Zapadły one w ciemność, pędziły niby ciężkie cienie z przepaść, były brunatne i czerwone jak krew i ziemia. Obudził się z krzykiem trwogi, wtłoczył w udręce głowę do poduszki, znów napół zasnął, i na nowo gnał pod ciężarem snów, które były naładowane fatalistyczną przemocą febry i snu. Czy coś było w pokoju? Czy coś się stało? Patrzył, leżąc nawznak w sączącą się szarość nocy.

— Będę czytał, — postanowił—to mnie uspokoi. Zapalił lampę przy łóżku, wyszedł z łóżka i nadeptał nagiemi stopami Melę, jak robaka. Cofnął nogi z przerażeniem. Później poznał ją. Leżała skurczona, zgięta rękami duchów nagiem, ciemnem ciałem na jasnym dywanie.

Nie, nie wrócił do łóżka. Jakby dotknięcie nagiego, o wstrętnej sierści zwierzęcia czuł na swych nogach jej skórę. Wytarł je gwałtownie o dywan.

Ale uczucie pozostało. Wówczas przyszło mu na myśl, rozklejonemu ciężką zmorą snów przy napół odzyskanem zaledwie zdrowiu, febrą malaryczną i niewytłomaczoną obecnością dziewczyny, wyraźnie i mocno znaczenie słow: Czar krwi malajskiej... Włosy stanęły mu dębem na głowie. Wzdłuż bioder poczuł dreszcz mroźny. Wybiegł z pokoju i zamknął drzwi za sobą.

W jadalni położył się na leżaku. Czytał przez chwilę, uspokoił się. Później rzekł do siebie: Smieszne! Najwyższy czas odesłać ją.

Zwolna zasnął. Gdy rankiem przy świetle dnia wszedł do sypialni z Meli nie było śladu.

Czyżby mi się to śniło? zapytał się Ney. Muszę się jeszcze oszczędzać. Wstał, gdy przyszła Lilit. Była pora śniadania. Kucharz przygotował jedzenie dla obojga. W żyłach Neya ucichła febra, a z pół przywróconym spokojem krwi powstała nieuciszona radość.

— Nic będę grała roli gospodyni! — rzekła Lilit. —Chcę być twoją pomocnicą.

— Mogę cię potrzebować L l t. Wyobraź sobie, towarzystwo handlowe, posiadające własne fabryki i rozszerzające swą działalność na całą Azję. Ale co umiesz? — Lilit śmiała się.

— Jak dotychczes to, czego się nie powinno. Uczy-

łam się jak należy wykręcać się od wszelkiej pracy. Uczyłam się, jak nie należy podróżować po świecie. Uczyłam się, jak nie powinno się być zadowolonym i tym podobnie.

— Wyszkolenie twoje jest dla moich celów niezłe,—zauważył Ney,—o ile jeszcze douczysz się coś niecoś z tego, co należy robić. Trochę stenografji, pisania na maszynie, buchalterji...

— Czy powinno się naprzykład,—przerwała Lilit, bronić przed całem miastem mężczyzny, gdy on sam tego uczynić nie może?

— Czyś to zrobiła? zapytał Ney z błogim napływem krwi do serca.

— Tak, czyś nie zauważył, jak kochany i poszukiwany stałeś się naraz.

— Przypisywałem to innym przyczynom!—rzekł Ney.

— Nie, sądzę, że to tylko ja byłam.

— Tylko ty! Tylko ty! Tylko ty!..; Tak odrazu stało się to jasne dla mnie, tylko ty!

— Czy to jest ważniejsze niż być maszynistką?

Ney spojrzał na nią, wahając się, czy mówi serjo czy też żartem.

Jej kędzierzawa główka chyliła się skośnie ku niemu i jak gwiazda spadająca z nieba przebiegła mu myśl, że w tej dziewczynie inna gwiazda łączy się z nim, przynosi mu taki związek, który śpiewał i szemrał o przyszłości. Ale naraz gwiazda zgasła. Lekki przestrach szarpnął nim, jak pęknięte szkło, przeczucie pełne obaw, nieuchwytne i ulotne.

Stroskany zajrzał w siebie, śledząc je. Nie wiedział czego dotyczy.

— Niko!—zawołała Lilit. Dostrzegła nagłą zmianę w Neyu.

— Sądzę, że to febra,—rzekł Ney—wczoraj miałem znów atak.

— Wyleczę cię z niej — zawołała Lilit żywo.— Pojedziemy do mego ojca do lasów w Colorado. Tam niema choroby.

— Do lasów Colorado... — powtórzył Ney. Jej przytłumiony głos, brzmiał w nim jak śpiew...—Jak pięknie to brzmi: Lasy w Colorado. Niby możność odpoczynku.

Służący zameldował kompradora Nunga.

— Oto przybywają moje lasy z Colorado — uważył Ney z uśmiechem.

Ale głuchy żal, którego nia mógł ogarnąć, towarzyszył tym słowom.

Powstał i wprowadził Nunga.

— Panie Nung, zaręczyłem się, mis Lilit jest moją przyszłą żoną.

— Och — rzekł Nung z podziwem i zdumieniem, uśmiechając się swym ojcowskim szerokim śmiechem. — Małżeństwo jest szczęściem. — Wiedział jednak już wszystko, gdyż dama odwiedzała Neya codzień w szpitalu.

Zachodnie kraje nie mają żadnych praw szlachetnych odnośnie kobiet i można tam robić, co się komu podoba. Oswoił się Nung z tem dobrotliwie, po ojcowsku w ciągu swych długotrwałych stosunków z Europejczykami.

Usiedli: Nung zapalił cygaro Manila.

Ney powiedział: — Widzi pani nietylko moją przyszłą żoną ale i wspólniczkę!

Lilit uśmiechała się tylko cicho, szczęśliwa i patrzyła na Nunga ciekawie.

— Ojciec Nung, nazywała go sobie.

Nung skłonił się tylko uprzejmie, jednak z uśmiechem, który pokrywał pięknie niechęć.

Powstało milczenie. Lilit przerwała je, mówiąc:
— Niko, pani Wilms zaprosiła mnie na herbatę. Powiedziała, że ją znasz.

Ney nie wymienił jej nazwiska, opowiadając swą przygodę z trumną. Zamiast Neya odrzekł Nung:
— Pani Wilms jest bogata, zajmuje się interesami. Przyjdzie czas, gdy pan Ney będzie mógł na nią liczyć.—

Ney spojrzał na Nunga zniechęcony, gdyż nie powiedział nikomu, że był u pani Wilms. Co wiedział o niej ten Chińczyk, że mógł powiedzieć, iż przyjdzie czas... Chciał zapytać, co pan wie o niej? Czy zna pan tajemnicę wieży głodu? Lecz pytanie te usunęły z ust jego inne myśli.

— Co mówi pan Dji? — zapytał.

Komprador odrzekł: — Pan Ney ma wielu gorliwych zwolenników i wielu niechętnych przeciwników. Ale pan Dji jest jego przyjacielem i można na nim budować!

— Jest to kupiec o rozległych horyzontach, — odrzekł Ney — zaraz to po nim poznać.

— Duch szczęścia jest z nim, — rzekł Nung.

Ney czuł że zwolna słabnie. Nie zdołał rozwinąć w tej rozmowie z Nungem spraw, o których chciał mówić. Lilit dostrzegła znużenie, ogarniające coraz bardziej narzeczonego... Odeszła, a Nung wkrótce po niej.

---

## VI

Zaledwie oboje odeszli przypomniała się Neyowi naraz przygoda z Melą i opanowała całkowicie jego wyobraźnię. Ciągle jeszcze nie był pewny, czy to nie sen. W tej niepewności dojrzał jakąś tajemną obawę. Osłabiło go to uczucie, Poszedł do gabinetu i położył się na szeslongu. W głowie dudniło mu, czuł żar w oczach. Wziął termometr i zmierzył — 39,5. Połknął chininę. Gorzki smak lekarstwa napełnił mu usta. Położył się znowu. Nie mogąc się uspokoić, sięgnął po cygara i palił. Po mżystym dniu zapadał wczesny zmierzch.

Patrzył na kłęby dymu tytuniowego. Silny tytoń przy jego osłabieniu łatwo zakręcił mu w głowie; Cygaro wypadło mu z ręki. Podniósł je, pociągnął raz jeszcze...

Naraz stanął nad nim kłąb dymu i zwolna zmieniał się w kulę. Wewnątrz odbywał się ruch. Kula rozdymała się. Neyowi wydało się, że z dymu ukształtowała się głowa ludzka. Znał przecież tę głowę, tak, ale kto to? Wysoka europejska głowa z gęstą brodą i okrągłemi okularami. Gdyby nie ta broda możnaby głowę uważać za chińską. Palce trzymające cygaro zwiotczały. Paliły jak węgle. Cygaro padło na ziemię z lekkim, ledwo słyszalnym stukiem. Wówczas obraz w dymie był skończony: odpowiadał on głowie człowieka, który stanął na-

gle w salonie pani Wilms przy marach. Jakże to nazwał on siebie? Ale Ney spał już.

Zbudził go nagle szmer. Głowa ciążyła mu ołowiem. W oczach, otwartych z trudem przesuwały się czerwone opary. To co widział odbywało się niby przez wodę, składającą się z lekka zabarwionej krwi. Mela weszła w krąg światła lampy, stojącej na biurku. Twarz jej pozostała ciemna, ale ramiona jej widział Ney aż do łokci zanurzone w świetle. Ręce jej otworzyły szufladę, grzebały w papierach i wydobyły sztylet.

Broń zamigotała przez moment w świetle, a później zapadła wraz z rękami w ciemność pokoju. Ney wiedział, co to za sztylet. Był on czworograniasty z drewnianą rączką, wyzłacaną i ujętą w mosiężne pierścienie. Zdaje się, że Mela przyniosła mu go, pewnego dnia na plantacji w Deli.

Co robiła Mela w jego pokoju? Wdzierać się do jego szuflady? Czyż nie powiedział jej, że odeśle ją na Samutrę? Czyż nie chciała zniweczyć jego stosunku z Lilit? Gniewny powtórzył groźbę w ciemność pokoju. Ale zaraz ogarnął go znów sen febryczny, a gdy obudził się znowu w chwilę potem, nie był pewny czy istotnie wymówił słowa, które chciał powiedzieć.

Powstał. Przed położeniem się zdjął kurtkę. Było mu chłodno więc włożył ją napowrót. Wyszedł nie znalazszy Meli w pokoju, szukać jej na dworze. Trzeba z nią nareszcie skończyć. Wydało mu się, że widzi ją wychodzącą z hali. Podbiegł do drzwi. Gorący woal przepalał mu oczy. Czy to Mela poszła po ścieżce ogrodowej do bramy? Zawołał ze złością. Nie słyszała. Szedł za nią z gorączkową niechęcią. Ulicę słabo rozświetlały latarnie. Podszedł do pierwszej z brzega. Ktoś stał tam. To

nie była Mela. Musiała być już dalej. Drżał z niecierpliwości płonącej w członkach. Myśli jego biegły za wyobrażeniami tętniącemi febrą. Musiał iść za niemi, jak gdyby go popędzały. W ich żarze spłonęła nagle Mela.

Gdy przyszedł do miejsca, gdzie niegdyś północna brama, tworzyła przejście z francuskiej koncesji do chińskiego miasta, skręcił i wszedł przez bramę w ciasne uliczki, obsadzone z obu stron pokrytemi dachem sklepami. Pośród towarów płonęły lampy. Towary leżały w pstrych stosach. Tam i sam, niby napół oświetlona kula, poruszała się między niemi głowa ludzka.

Ney pędził przed siebie, obrazy przelatywały przez jego oczy i natychmiast znikały. Naprzeciw szły gromady ludzi. Roztrącał je. W głębi zamroczyło się wszystko nieznanym brunatnym oparem. Przebiegł wiele ulic. Dotarł do bramy wschodniej. Czego szukał? Przestraszony zapytywał siebie. Zawrócił niezdecydowany i oszołomiony, minął ulicę handlową i dotarł do muru, nad którym w niezliczonych występach daszków wznosiła się na tle nocy jakaś pagoda. Zdawało mu się, że dzwonki dzwonią na kantach daszków. Szedł trwożnie przy murze i ujrzał, że po drugiej stronie wąskiej ulicy stały domy, w których czasami otwierały się czarne drzwi, prowadzące jakby do czegoś nieznanego.

Dokoła szerzył się smród straszliwy.

Raz ulica była tak wąska i ciemna, że musiał wymacywać drogę. Przytem ściana zemknęła się a ręka wsunęła się w jeden z otworów drzwi. Zadygotał i naszła go straszliwa, łamiąca rozum myśl, że wpada w otchłań czaru malajskiego, którym groziła mu Mela pewnej nocy. Szarpnął się wstecz. Przebiegły go dreszcze. Poco tu przyszedł? Prze-

rażenie biczowało go z głębi otworu. Zaczął biec bez pamięci. Coś było poza nim. Biegł w takiem tempie jak biły poprzednio dzwoneczki na pagodzie. Chciał go dopędzić. Gdyby miał tylko broń przy sobie! Naraz trzasnęło go coś. Zdawało mu się, że został wybity ze swego pędu. Osunął się nawznak na ziemię.

To uderzenie przywróciło mu przytomność.

Z trudem wyprostował się. Wysoki człowiek stał przed nim. Zaczął kłaniać się niezliczoną ilość razy chińskim obyczajem.

Potem jakiś głos rzekł po niemiecku, całkiem spokojnie, bardzo uroczyście:

— Można zabijać nawet samą wolą. Kto, jak ja zdołał przeniknąć tajemnice cudzej duszy, że przestały być tajemnicami, ten wie. Jestem — i rzekł to tonem podniosłym, którego Ney przestraszył się jeszcze przy trumnie w salonie pani Wilins — jestem profesor Dang z Jeny. Kto zabił człowieka, leżącego u pańskich stóp? Proszę mi powiedzieć!—

Neya zatchnęło. Błysnął oczyma, które przerażenie skuło niby żelaznemi sztabami, ku swym nogom i dojrzał w słabem świetle nocy skurczonego na ziemi człowieka. Ney krzyknął urywanym, ostrym głosem i pędził i pędził, bez tchu... w noc nieznanych, splątanych ulic, które niby huśtawka djabelska ciskały go sobie... otoczony wrzaskiem śmierci i mordu.

Z rozpętanemi zmysłami, trawiony żrącą trwogą, ścigany przez nieopanowany strach, Ney tłukł się po ulicach i uliczkach. Czyżby groźba Meli się sprawdziła? Czy popadł w moc malajskiego czaru? Co się stało, gdy padł poprzednio na ziemią? Leżał na tem miejscu zamordowany człowiek. Głos jakiś zapytał: „Kto zabił tego człowieka, leżącego

u pańskich stóp? Proszę mi powiedzieć." Naraz po błądzeniu w chaosie domów wśród których nie można było odróżnić dziedzińca i ulicy, sieni i halli uderzył oczy jego obraz, z którego czarodziejskiej przemiany spłynął na niego spokój. Opanował się natychmiast. Z sadzawki, leżącej czarną plamą na ziemi, na belkach drewnianych, wznosiła się masa zabudowań które w ciemności wyginały się niby zwierzęta, budynki o dachach rozkołysanych na wszystkie strony. Przez fosę biegł w gzygzakach most, jakby dla ustrzeżenia gościa od prześladowców. Była to Hu-Sing-Ding, słynna, stara herbaciarnia w środku chińskiego miasta.

Ney zatrzymał się, ujrzawszy znajomy obraz. Stanął. Serce biło mu tak głośno, że słyszał je. Zdało mu się że upadnie. Oparł się na chwilę o barjerę. Kilku ludzi przeszło ulicą. Żebrak jakiś pośpiewywał: wielki panie! wie...e...elki panie, proszę, proszę! Wyprostował się i poszedł szybkim krokie ulicą prowadzącą do bramy północnej, którą często poprzednio przechodził. 

Po przyjściu do domu, lodowaty pot sperlił mu całe ciało, zdawało mu się, jakby śnieżna wilgoć nasunęła na niego zimny, dziwny dzwon, aby go oderwać od normalnej, spokojnej rzeczywistości. Ze szczękającemi zębami owinął się należycie z głową i zagrzebał się w łóżku. Myśli biegły w głowie jego niby ku murowi, którego nie mogły przekroczyć i rozbite odbijały się oń. Poco chodził do chińskiej dzielnicy? Nie mógł sobie przypomnieć przyczyny? Musiał dostać się tam w delirjum febry. A na ulicy? Co stało się na ulicy? Czy nie... nie... to było inaczej... Czy nie trącił go profesor, spotkany przy trumnie w wieży głodu, na jakiegoś zamordowanego? Kto zamordował, tego który tam leżał?

Kto? Kto? Co się stało, gdy Ney padł na ziemię w tem miejscu, gdzie leżął w chwilę później zamordowany?... I... same pytania... pytania... Odpowiedź leżała z tamtej strony muru, ktćrego myśli przekroczyć nie mogły.

Zwolna legło na nim ogromne wyczerpanie Wpadł w sen ciężki i czarny, jak wodu Hu Sing Ding w nocy.

We śnie febra osłabła. Roje zarazków cofnęły się i gdy Ney się ocknął, był wolny od ciężaru gniotącej gorączki krwi i mózgu. Próbował uporządkować zdarzenia minionej nocy. Lecz nie mógł pojąć dwu punktów: w jaki sposób wyszedł do dzielnicy chińskiej i jak zderzył się z profesorem i z leżącym na ziemi człowiekiem.

Muszę opowiedzieć wszystko Lilit, postanowił, powtarzając półgłosem: — Tak, opowiedzieć wszystko Lilit. — Ona mogła to wyjaśnić, gdyż miała w duszy swojej spokój lasów Colorado. Musi mię ratować. Lilit pomoże mu, gdy opowie wszystko, co pamiętał jeszcze targanej febrą nocy. Gdyż nic jaśniejszego, że wypędziło go w świat delirjum, nasyconej malarją krwi. Może spotkanie z profesorem i widok leżącego na ziemi trupa były tylko złudami szaleństwa? Wszystko zniknęło w nieruchomym cieniu, w chwili, gdy był wolny od febry, a lasy Colorado zaczęły śpiewać z dali w jego rozgorzałej i swobodnej wyobraźni tonami wabiącemi. Dobroczynna swoboda krwi usposobiała do nęcących marzeń. Serce zapalone żrącą miłością, wyobrażało sobie złotą kędzierzawą głowę Lilit w szumiących szczęściem i spokojem lasach.

Wyobraźnia jego w ekstatycznych obrazach szła dalej i wiodła go znów do dzieła, które przedsiębrał w Chinach. Niezmierzone i bezgraniczne ma-

rzyły mu się wizje wielkiego rozwoju. Chciał zbudować na potężnym prądzie rzeki Jang-tse olbrzymie zakłady, zbierające skarby bogatej ziemi i dające mu pierwszy eksport do Europy, za co wzamian na Zachodzie tysiące głów będzie pracowało i tworzyło w jego służbie to, czego Azja potrzebuje od Europy.

Azeuko — brzmiało słowo czarodziejskie, ogarniające dwie części świata i roiło się w jego głowie. — Azjatycko-Europejska Kompanja.

Myśli jego wędrowały przez wszystkie kraje, aż nie mógł wytrzymać platonicznej wiary w siebie w łóżku. Wstał i chciał wydobyć plany i projekty, aby ze wzmożoną energją dodać do swych pomysłów coś, więcej niż zawierały.

Wrócił do sypialni i ubrał się. Gdy naciągał na ramiona lekką, letnią kurtkę poczuł uderzenia jakimś twardym przedmiotem w pierś. Przeszukał kieszenie i wyjął z jednej sztylet. Oglądał go w zdumieniu. Mela przyniosła mu raz ten sztylet na Sumatrze. Przypominał go sobie dobrze. Było to przed pustym dniem burzy. Jest to bardzo stary malajski sztylet, rzekła. Obejrzał go. Rękojeść była z czarnego drzewa, ornamenty były wycinane, a linje ich napełnione białym wapieniem. Otaczały ją liczne pierścienie mosiężne. Klinga była czworograniasta i ostra.

Gdy oglądał go przez chwilę — opadły go przytem dawne wspomnienia,— chciał go, zachwiany w swej równowadze odłożyć. Ale zaraz wziął go z stołu napowrót, otworzył gwałtownie szufladę, w której go przechowywał i podniecony wsunął go pod leżące tam papiery. Później zamknął szufladę. Stał chwilę z ręką na rękojeści, otworzył znów, wyjął broń z pod papierów i dostrzegł że na klindze

były plamy. Rdza? Nie... Krew? Nie, nie zdoła potrzeć, aby się przekonać. Na nowo odrzucił sztylet i zamknął szufladę.

W jaki sposób dostał się sztylet do mojej kieszeni? — pytał siebie a pytanie to rozwarło znów tajemniczą zagadkę nocy w jego sercu. Drżały mu trochę dłonie. Niby przez mgłę widział przesuwający się cień zamordowanego na nieznanej uliczce człowieka. Słyszał głos pytający: „Kto zabił tego człowieka, który leży u pańskich nóg?”... Czy doprawdy zamordowano kogoś? Czy nie było to delirjum i szaleństwo? Jakim sposobem dostał się sztylet do jego kieszeni?

Zmięszanie połączyło się w nim z jakimś ponurym strachem. Zamknął oczy od napływu niejasnych obaw krwi. Zalękniony wsunął szufladę i odszedł od biurka na środek pokoju.

Czy został ktoś zamordowany? Zapytał się jeszcze raz.

Wówczas podszedł do dzwonka, zdecydowany jak na fatalistyczne rozstrzygnięcie, i zadzwonił na służącego.

— Czy jest już gazeta? — zapytał.

Służący przyniósł gazetę poranną i odszedł.

Zaledwie wyszedł, Ney rzucił się na gazetę. Szukał, oczy jego skakały z drżącą chciwością po szpaltach „Nowości z dnia w Szanghaju“... Szwedzki konsul dziś rano parowcem pocztowym... Przybyli na parowcu Europa“... Sir Archibald Sunk w Carlton... Nie... Dalej... Dollar Szanghajski... Dalej!.. nie... Roboty w przystani... To, serce Neya zabiło: Z dzielnicy chińskiej donoszą, że wczoraj w nocy odebrał sobie życie generalny superintendent Huang-Po. Nie, i to nie. Szpalta skończyła się, Ney przebiegał inne stronnice, przeczytał gazetę

raz jeszcze, nie znalazł nic o morderstwie. Czyż miał zapytać służącego, czy nie słyszał czegoś? Walczył z tym zamiarem przez chwilę.

Później jednak opanowany przez gwałtowne zniecierpliwienie zadzwonił:— W gazecie jest, że wczoraj zamordowano kogoś z dzielnicy chińskiej. Czy słyszałeś coś o tem?

— To nieprawda, nie!— odrzekł służący. Ney uspokoił się. Nie stało się nic. Zaczął czekać na Lilit. Miała przyjść do niego na śniadanie... Wyobraził sobie, jak opowie jej, co za potworne wizzje graniczące z prawdą i obędem przecierpiał w nocy. Pragnął pomocy od niej i chciał usłyszeć znowu słodkie. nęcące słowo: lasy Colorado. Ale jak się to stać mogło, że taki silny mężczyzna jak on został do tego stopnia opanowany przez febrę i nie był panem swych czynów i wspomnień. Coraz częściej wychodził przez hallę do ogrodu, na ulicę i wyglądał Lilit. Ogarnęła go niecierpliwa tęsknota za nią. Gdy zawracał przez jakieś przejście stała w kącie halli wciśnięta w czarną zasłonę Mela. Stała tam w uroczystej martwocie z zamkniętemi oczami. Ney przeszedł mimo niewzruszony, cały oddany myślom o Lilit. Ale gdy był już w swoim pokoju wtargnął za nim obraz nieruchomego, czekającego w cieniu ciała dziewczęcia. Skronie jego lekko zadrżały. Podszedł do szuflady, gdzie leżał sztylet malajski i położył dłoń na trzonku, party niepokonanem wrażeniem, iż sztylet ten i Mela są dziełem jednej krwi.

Porwał się jednak. Śmieszne! Dziesięć lat opierałem się febrze! Śmieszne! Musi odejść!

Ale Ney nie rzekł ni słowa o miażdżącej ludzi nocy. Zerkał w stronę szuflady, gdzie leżał sztylet, skąd chciała ujawnić się tajemnica. Myśli jego

poruszały się dziko i splątane bez hamulca. Opadła go naraz uporczywa ciekawość zwiedzenie napowrót miejsc, gdzie zjawiła się nocna zmora. Do ciekawości przyłączyła się lekka obawa. Później znów przybyła przekora, z którą silne jego nerwy słabo walczyły.

Rzekł do Lilit wprost: — Muszę zaraz odejść, mam gdzieś iść!

Pożegnali się krótko i Ney wyszedł z domu

Z pośpiechem biegł ku wejściu do chińskiej dzielnicy. Odtrącał szorstko kulisów, ofiarujących mu swe riksze na ulicy. Gdy wszedł do chińskiej dzielnicy, przyczepił się do niego jakiś chińczyk, jeden z tych którzy tam czyhają stale na Europejczyków i wypadają z kątów na ich widok, aby zarobić w roli przewodników srebnego dolara, bajeczny pieniądz, którym dysponowali cudzoziemcy.

— Dso! Dso! - wołał Ney do natarczywego człowieka.

Ney szedł prędko naprzód. Tutaj jeszcze się orjentował. Znajdował się przy szeregu sklepów, w których odlewacze cyny i kowale miedzi wystawiają na sprzedaż swe naczynia, lampy, kałamarze, fajki i czajniki. Trąciła go biegnąca ślepo lektyka. Przeszedł policjant i chwycił kogoś za chustkę na głowie, czy nie ma ukrytego zabronionego warkocza. W prawej ręce trzymał nożyce, wiszące na sznurze u swej szyi. Ney widział wszystko, co działo się dokoła. Ale widział tak, jakby się to działo na innym planie. Osnuły go własne zamiary. Przybył do starej herbaciarni nad wodą. Teraz trzeba uważać. Skąd przybył tu wczoraj w nocy. Chwilkę tylko namyślał się, gdyż przed oczami jego stanął znany obraz starego budynku. Tam, gdzie zaczynał się zygzakowaty most, oparł się

o budynek. Teraz zrobiły się w nim gzygzaki. Po daremnem oglądaniu się i grzebaniu w pamięci wszedł zdecydowany w leżący nawprost przed sobą chaos domów, uliczek i podwórek.

* * *

Na ulicy Czerwonej Gwiazdy, starej chińskiej dzielnicy, gdzie znajdował sią tani zamtuz, znaleźli dwaj policjanci, przechodzący tamtędy o północy. przed drzwiami, trupa zamordowanepo człowieka, Trup był jeszcze ciepły.

A więc zbrodniarz nie mógł być daleko. Wtargnęli do domu. Na dole był długi kurytarz, prowadzący do kryjówek, składających się z powiązanych tylko łodyg bambusowych i oddzielonych tem od sieni. Mroczne lampy oliwne płonęły tu i tam. W drżącem świetle jednej z lamp, wystraszony przez hałaśliwe wejście policjantów, wymknął się jakiś człowiek z jednej komórki. Dążył do otworu wyjściowego w sieni. Jeden z policjantów dostrzegł go jednak. Dlaczego człowiek ten chciał wyjść, gdy wkroczyła policja? Rzucił się za nim. Człowiek biegł szybciej. W tem policjant skoczył ku niemu i uderzeniem przewrócił go.

Któż inny mógł być mordercą?!

Strzeżony przez policjantów, leżał człowiek ów chwilę bez przytomności od ciosu na ulicy. Ocknął się. Policjanci związali mu ręce na plecach i popędzili do Jamen, sędziego, gdzie w drugim dziedzińcu było więzienie ciężkich zbrodniarzy. Nie pytali, jak się nazywa. Kto jest? Czy zamordował człowieka? Zacieśnieni do rozgrzanej, pałającej pełnieniem obowiązku wyobraźni byli pewni swego zupełnie. A tam poza sztabami krat leżał człowiek

pełen żądzy zemsty przeciw urzędnikom w mrocznym dziedzińcu.

Nazajutrz przywieziono do urzędowego budynku sędziego prowincji Dr. Sl. Chciał zwiedzić więzienia. Czynił to często. Czynił to z namiętności. Dr. Sl piastował za czasów cesarzowej stanowisko w ochronie pałacowej i zdobył stopień Tszing-szi, doktora. Od lat był sędzią prowincji w Kiangsu i nosił rangę, zaliczaną do najwyższych w kraju. Podczas cesarstwa był odznaczony orderem pawiego pióra. Nosił order żórawia, a jego czapka urzędnicza była ukoronowana przezroczystym błękitnym kamieniem lapislazuli. Przetrwał na swym urzędzie upadek monarchji, ponieważ posiadał nietylko nadzwyczajną inteligencję, ale władał niesamowitą wolą, która dawała mu możność wywierania wpływu niewyjaśnionego na ludzi. Posiadał w sobie drugą duszę. Nowy rząd republikański obawiał się go i liczył na zużytkowanie tych zdolności, któremi dawniej posługiwał się często cesarz dla wyśledzenia spisków lub zabójstw politycznych.

Aby wyśledzić zbrodnię, zachowywał się Sl niezwykle. Odrzucał wszelką etykietę. Rezygnował z otoczenia liktorów i służby w swych czynnościach urzędowych i z przepisów bezwartościowych, wskutek zabobonnych komentarzy, w książkach instrukcyjnych. Zamiast tego w przebraniu, niosącego ciężary kulisa, rzemieślnika, kupca, służącego mieszał się w tłum, gdzie jego drugi duch szukał sprawcy. W całych Chinach środkowych wiedziano o tem, nie znając go jednak z wyglądu. Jeśli zdarzył się jakiś niezwykły wypadek, ludzie stawali się niespokojni, gdyż czuli wszędzie obecność Sl między sobą. Oddawał się tropieniu z namiętnością, obcą i niezwykłą dla swego narodu. Często zdarzało się, że gdy

tylko był w pobliżu sprawców, ci oddawali się sami pod wpływem promieniowania jego tajemnej woli, jak owady wpadające w płomień lampy nocą przy otwartem oknie.

Tak więc, oddawna nałogiem dr. Sl było regularne odwiedzanie więzień i niby bezplanowa gawęda z więźniami, w czasie gdy drugi duch jego szukał czynów, skrytych przez ludzi niewidzialne w umyśle.

Więzienie, do którego wprowadzono mordercę z zeszłej nocy, leżało w drugiem podwórzu Jamenu sędziego okręgu. Sędzia okręgowy był nieobecny, a Sl wolny od wizyty, rozmawiał z jednym z pisarzy sądowych.

— Przyprowadzono mordercę — rzekł ten — zamordował on człowieka w ulicy Czerwonej Gwiazdy, otworzył złotą różę sztyletem, wspaniały zwierzchniku.

— Skąd wiadomo, że schwytany jest sprawcą?

— Zabity leżał przed drzwiami zamtuza, słynny sędzio. Znikoma marność, której dano przemawiać do pana — spojrzał przytem, jak laska tuszu na wieżę pagody — wywnioskowała, że dokonał tego czynu, aby zdobyć pieniądze i pójść do dziewczyn tego domu.

— Czy przyznaje się?

— Nałożył sobie na usta siedem zaciętych zamków i jest niemy, jak skorupa porcelanowa.

— Chcę pójść do niego — rzekł Sl. — Pójdę sam, przed drzwiami więzienia niech stoi dwu ludzi, a gdy uwięziony wyjdzie, mają go ująć.

— Wykonać rozkazy Waszej wspaniałości — to moje święte prawo.

Dr. Sl poszedł. Był ubrany skromnie według zwyczaju chińskiego w czarne spodnie, w ciemno szarą

suknię jedwabną i czarną, małą czapeczkę. Był to mały, gruby mężczyzną z wielkim brzydkim nosem i krótkiemi nóżkami. Gdy szedł chwiał się w biodrach.

Drzwi więzienia otwarły się w wielkim, bez okien murze. Przez ten mur wychodziło się na dziedziniec. Trzy strony tego dziedzińca były otoczone otwartemi klatkami, które piętrzyły się na wysokość dwu pięter. Mocne sztaby żelazne odgradzały je od dziedzińca. Poza temi sztabami siedzieli więźniowie niby w menażerji, w której sen szatański zmienił zwierzęta w ludzi. Wielu było przykutych. Inni nosili pale przywiązane do ciała, co utrudniało ich ruchy. Patrzyli ciekawi lub źli, niemo lub z wrzaskiem na zbliżającego się. Jedni zaczęli kląć.

— Wyniosły kwiecie, w domu umiera mi z głodu stara mateczka... Mój przyjaciel wtrącił mnie w nieszczęście, szlachetny mandarynie, jestem niewinny!.. Jestem chory i umieram, nie mogąc staremu ojcu dać pociechy ostatniego spojrzenia..

Sl przechodził niewzruszony.

Od klatek pierwszego piętra biegła wzdłuż galerja, na którą wchodziło się po drewnianych schodach, zbudowanych na gołym murze. Morderca z ulicy Czerwonej Gwiazdy został umieszczony w pierwszem zamknięciu na galerji. Sl wszedł. Człowiek siedział na pieńku i patrzył złym wzrokiem w milczeniu na wchodzącego.

Dr. Sl postał chwilę. Potem kazał otworzyć klatkę i wszedł do środka.

— Wymień mi swe nazwisko i miejsce urodzenia! — rzekł.

Więzień początkowo nie odpowiadał.

Dr. Sl przybliżył się do niego i rzekł tonem narczywym: — Proszę!

Wówczas tamten odpowiedział krótko z zaciętością: — Jestem pan Niewinny!

— Skąd?

— Z szlachetnego łona matki!

— Możesz iść do domu! Drzwi są otwarte! — rzekł nagle Sl z łagodną przychylnością, jak do brata.

Wtedy odparł więzień uparcie: — Nie, dopóki niewinność moja nie będzie dowiedziona!

Sl odpowiedział spokojnie: — Stało się to przez twoją odpowiedź, gdyż gdybyś był winny, widziałbyś w moich słowach jedyny ratunek... Widzę teraz, że nie masz powodu obawiać się pobytu tutaj, brzydzisz się nim tylko. Chodź, przeprowadzę cię przez Jamen na ulicę, z powrotem do ludzi uczciwych.

Więzień powstał spokojnie, naturalnie i zeszedł za Sl na dziedziniec, nie oglądając się. Inni więźniowie patrzyli na niego, jak na cudo, ponętne obrazy niemożliwych rzeczy napełniły ich serce. Sl przeprowadził człowieka, ubranego w strój porządnego rzemieślnika, na ulicę i puścił go wolno, skłoniwszy się przed nim. Tamten początkowo zmieszany, wszedł w tłum ludzi i zniknął.

Dr. Sl wrócił do kancelarji sądowej.

— Więzień był niewinny, — rzekł — Wypuściłem go! Co stało się z trupem zamordowanego? —

— Rozwinięty kwiecie stanu sądowego, postąpiono z nim dokładnie według przepisów, zawartych w dwu tomach instrukcyj dla badaczy trupów. Znający prawo, powinni dbać, aby przestępstwa wśród ludu zmniejszały się... powiada pismo. Tutaj oto, książę sędziowskiego stołu, znajduje się obraz trupa, z zakreśloną raną. Leży ona na dwudziestej drugiej części witalnej a mianowicie na trzeciej od przodu.

Sl wziął papier. Znak rany znajdował się w okolicy serca.

— Chcę widzieć trupa, — rzekł Dr. Sl.

Zamordowany leżał w bocznej komórce. Sl zbadał ciało. Odpiął suknię i koszulę i ujrzał małą ranę pod lewą piersią. Kształt rany wydał mu się dziwny. Brzegi jej były ostre i leżały blisko siebie. Początkowo wydało mu się, że pochodzi ona od wąskiego, okrągłego narzędzia. Dr. Sl wziął papierek ryżowy, zwilżył go i przycisnął ostrożnie do rany. Wówczas ujrzał, że mała dziura nie była okrągła, lecz rozłamana na cztery kanty.

Zdumiał się, gdyż nie znał broni chińskiej, któraby mogła zadawać takie rany.

— Opisz mi miejsce, na którem znaleziono zamordowanego. —

Pisarz uczynił to.

Sl opuścił zaraz Jamen, przebrał się w domu i udał się na ulicę Czerwonej Gwiazdy w błękitnych spodniach, krótkiej kurtce i europejskiej czapce kulisa... Znalazł miejsce... Dostrzegł na pierwszem piętrze domu małe okno nad bramą... Wszedł tam i zaczął obserwować cierpliwie ulicę. Jakaś kobieta wlokła się z trudem na obwiązanych nogach. Jakiś człowiek, domokrążca, niosący na drągu dwa kosze przeszedł przez miejsce zbrodni bez spojrzenia i zatrzymywania się. Szedł za nim kulis. Szedł szybko, bez wahania po kamieniach i zniknął w domu. Sl słyszał na dole śmiech dziewczyny, a potem przyszedł cudzoziemiec... Europejczyk...

* *
*

Ney błądził bez celu długi czas po ulicach i uliczkach. Wszysto było dlań obce. Był lekko oszoło-

miony bieganiem pośród ciemnych, cuchnących norach, gdzie ludzie pędzili życie niepojęte dla niego. Znów toczył z sobą walkę, czy też przeżycia nocne nie rozegrały się jednak tylko w jego rozgorzałej od febry krwi. Potem chciał zaprzestać poszukiwania uliczki, na której zderzył się z profesorem i gdzie leżał zamordowany.

Lecz później przyszła nieznacznie i złośliwa pamięć o tem, że znalazł sztylet w kieszeni. Przeniknął go dreszcz. Czy był jakiś związek między zamordowanym a tem, że Ney bez wiedzy miał sztylet w kieszeni, możliwe? Czy plamy, których nie ważył się dotknąć były rdzą czy krwią? Chciał zgłębić przygodę do dna. Ney śpieszył dalej, szukając w chaosie starych ulic, jakby w plątaninie własnych żył.

Podbiegł do jakiegoś muru. Przebijała się pod nim brudna ulica. Otwarta, bez okien dziura, nad którą wisiał niebieski łachman, prowadziła do wnętrza domu. Smród płynął stamtąd taki, że Neyowi groziła utrata przytomności. Chciał dalej śpieszyć ale trzymało go jakieś zamglone wspomnienie, jakby już widział kiebyś ten obraz i przeżył już raz taką sytuację. Zatrzymał się. Dreszcz przebiegający wzdłuż palców zmusił go do pochylenia się i spojrzenia na ziemię. Leżały tam kamyki owalane błotem. Czy niektóre z nich nie miały czarnych plam? Od czego? Od krwi? Nie był tego pewien. Najlepiej byłoby schylić się do nich i pociągnąć po nich palcami. Naraz uczuł czyjąś rękę na ramieniu. Drgnął i ujrzał przed sobą warjata z domu pani Wilms. Ubrany był w długą, jasno niebieską suknię chińską, a pod nią w czarne nad kostkami związane, jedwabne spodnie. Uśmiechnął się do Neya najuprzejmiej w świecie, skłonił się wielekroć

z szacunkiem, włożywszy jedną rękę w drugą starannie, ażeby nie uszkodzić długich paznokci, nie zaopatrzonych dziś w futerały. Po niezliczonych ukłonach rzekł: — Tutaj dokonano wczoraj morderstwa! Jest to ulica Czerwonej Gwiazdy! —

Przy tych słowach uśmiech jego nabrał wyrazu stężałego oczekiwania, które jakby przepalało mu gałki oczne. Przez tęczówkę uderzył przenikliwy promień wejrzenia. Mierzył on do czegoś w Neyu, co zdziwiło się w nim już przy spotkaniu z warjatem, a mianowicie do zaćmionej świadomości, że ten moment już raz przeżywał.

Warjat mówił miarowo: — Można zabijać także wolą. Kto tajemnicę duszy obcego narodu przeniknął i w nagrodę za swą miłość do tego narodu ma szczęście przeżywać powtórnie swe życie jako jego członek, ten wie o tem. Jestem — rzekł to wielkim i uroczystym głosem — profesor Dang... Znajduje się na drodze do trzeciego bytu. A w nim u boku jej, wspaniałej Kuan-Jin będę kroczył poprzez czas, z tamtej strony gór. Pojmuje pan więc, że ciągnie mnie zawsze do miejsc, na których jakieś życie zakończone zostało. Gdyż dopiero koniec tego życia oznacza początek następnego, życia ostatecznych spełnień. Dlatego kocham też morderców. Jeden z nich może być pewnego dnia także i moim pośrednikiem. —

Profesor spojrzał znów na ziemię. Oczy Neya pobiegły za nim. Warjat wskazał jednym z długich palców na ziemię. Wtedy Ney wzdrygnął się.

Po chwili rzekł Dang: — To już po raz drugi spotkaliśmy się na miejscu śmierci. Zdaje się, że pana nawiedziła również tęsknota do nowego życia. Interesuje się pan duszą chińską, nieprawdaż? Nie wie pan nic o niej? —

— Nie, sądze, że nie, — odrzekł Ney trwożnie.

— Ja, wiem jednak o niej wszystko, chodźmy, nie trzeba zbyt długo przebywać w miejscu, gdzie w kurzu wyschła krew stwarza fale, niewidzialne dla niewtajemniczonych, ale dla błogosławionego pełne słodkich, śmiertelnych ponęt, które wiodą do wybrzeży wyższego stopnia bytu. Lub, może pan chce mnie także zamordować? Błogosławiłbym uderzającą rękę. Chodźmy!

Ney poszedł za nim. Dang mówił z ekstazą o duszy ludów chińskich. Ney nie słuchał. Zatracił się całkiem w sobie. Szli obaj przez bezludne ulice, wyszli do bramy, prowadzącej do francuskiej kolonji i zaszli w ulicę konsulatu. Dang mówił bez przerwy. Słowa jego waliły w głowę Neya niby młotem. Gdy przyszli przed jego dom, Ney napół oszołomiony podał tamtemu rękę.

Ale ów odskoczył.

— Sądzę, że pan mnie nie zrozumiał, jakżeby inaczej mógł pan praktykować ten zwyczaj barbarzyńców. Zresztą to co panu powiedziałem, jest najwyższą i ostateczną prawdą najwznioślejszego narodu. Osiągnięcie tej prawdy opłaciło wiele europejskich duchów utratą rozumu, i ze mną stałoby się to również, gdybym nie miał „jej". Ale o „niej" innym razem.

Ujął ostrożnie swą prawą dłoń w lewą, potrząsnął nią szlachetnym ruchem i skłonił się kilkakroć uroczyście.

Ney uczynił to samo, jak we śnie i zanim tamten się odwrócił, rzekł Ney zawstydzony i z przymusem: — Czy mógłbym pana prosić o przybycie do mnie jutro wieczorem? Powie mi pan coś więcej o tem...

Ney wszedł do domu. Warjat pobiegł w górę ulicą.

Dr. Sl obserwował obydwu z małego okna. Rozumiał po niemiecku, gdyż uczęszczał przez dwa lata w Berlinie na kursy medyczne. Dosłyszał urywki rozmów warjata. Śledził ich niepostrzeżenie, gdy odeszli. Wokoło skroni jego grała lekka drżąca gorączka, zdawało mu się, jakby dwu cudzoziemców otaczał głuchy żar, a wewnętrzne obrazy płynące z jego drugiej duszy, ujęły obydwu śledzonych w jedne ramy z umarłym, którego życie wypłynęło przez czworokątną ranę. Sl widział, że jeden wszedł do domu, zapamiętał sobie budynek i poszedł za ubranym po chińsku. Na pierwszym rogu ulicy tamten wziął rikszę. Wówczas zawołał Sl także kulisa.

— Dokąd wasza szlachetność? — zapytał kulis.

— Jedź za tym, co jedzie przed nami! —

Tak przybył Sl do domu pani Wilms.

— Czy wiesz, kto tu mieszka? — zapytał kulisa, gdy Europejczyk wszedł przez furtkę ogrodową.

— Nazywają to, „wieżą głodu,“ wysoko urodzony, — odrzekł kulis.

Dziękuję ci. Masz tu dwa sznurki za jazdę, rzekł Sl i dał mu nawleczone pieniądze.

— Oh, bogaty książe to za mało.

— Oddaj więc, dam ci inne pieniądze.

Kulis oddał mu z powrotem sznury.

Sl spokojnie schował jeden z nich, a drugi oddał kulisowi.

— Przedtem byłem dobry, kulisie i dałem ci pięćdziesiąt miedziaków za wiele. Wiedziałeś o tem i sądziłeś, że jestem głupcem. Za to złe o mnie mniemanie, całkiem nieusprawiedliwione, odciągam ci pół miary. Teraz jest za mało. Będziesz zły

i przez złość tę zachowasz mnie w pamięci. Dziś będziesz się złościł na mnie cały wieczór. Jutro jednak poznasz, że byłem mędrcem i nauczyłem cię czegoś.

Kulis zaczął narzekać.

Sl odszedł niewzruszony.

Kulis biegł z rikszą obok niego, błagając: — Mój książe, zmuszasz swego parobka do głodowania tej nocy, nie będzie mógł kupić sobie na wieczerzę ryżu.

Sl rzekł do niego przenikliwym głosem jedno słowo: — Precz! —

Kulis został w tyle.

* *
*

W porze, gdy w europejskich domach podają kolację, przyszedł Dr. Sl w przebraniu chińskiego służącego, wślizgnął się do domu wieży głodu i wszedł do kuchni. Usiadł przy stole, gdzie siedziało kilku Chińczyków, pozdrowiwszy ich uprzejmie.

Najstarszy służący, dozorca domu, zapytał: — Kto jesteś?

Wówczas Sl wypowiedział słowo tajemne, po którem poznawali się wszyscy członkowie białego, tajnego związku synów w państwie środka. Ugoszczono go, pytano skąd? Ale on nie zaspokajał ciekawości, lecz wprost rzekł, iż chce się dowiedzieć czegoś o Europejczyku, mieszkającym w tym domu, ubranym w chiński strój. Powiedziano mu, co wiedziano. Chciałbym, rzekł Sl, przeszukać jego pokój.

Może to zaraz uczynić. Warjat wyszedł przedtem. Czy szafy i szkatułki są otwarte? Tak. Kto

go obsługuje? Sau usługuje mu. Ma on pójść razem z nim.

Poszli do pokoju. Dr. Sl szukał we wszystkich skrytkach sztyletu, którym mógłby być dokonany mord, szukał na ubraniu plam krwi, ale nie znalazł.

Kto mieszka w tym a w tym domu na ulicy Konsulatu zapytał. Pewien kupiec, który zaledwie przed kilku miesiącami przybył do Chin i ma być bardzo poważany wśród Europejczyków.

* *
*

Lilit, tak nagle opuszczona przez Neya, wyszła wkrótce potem z domu. W dręczących myślach spędziła kilka godzin w hotelu. Co się stało? Nie mogła się uspokoić. Do trosk jej dołączyła się przygoda z Melą. Popołudniu skorzystała z zaproszenia pani Wilms.

— Czy wyjedziemy konno? — zapytała pani Wilms przy przywitaniu. — Mam dla pani karosza, który jakby się urodził do pani blond włosów. Lubię tylko czarne konie.

— Ależ pani Wilms, nie mogę wsiąść na siodło w tej luźnej, białej sukni! — broniła się Lilit. Nie miała ochoty do jazdy.

— A więc jutro, dobrze. Pani jeździ na męskiem siodle? Niech mi pani opowiada o Neyu.

Te bezpośrednie słowa przeszyły serce Lilit. Smutno odrzekła: — Jest on dziś rozstrojony.

— Tak, panowie. Panowie stworzenia. Jak można, posiadając taką dziewczynę jak pani, Lilit, mieć prawo do rozstroju!

— Może nie było tak. Zdawało mi się. Nie mogę na dowód przytoczyć żadnych szczegółów,—

cofała się Lilit zawstydzona i żałowała swych zwierzeń.

— A więc mówmy o sobie. Rostrojeni mężczyźni są niejadalni, jak zepsute chińskie jaja.

— Chciałabym coś więcej wiedzieć o pani, — rzekła naraz Lilit. — Wydaje mi się pani niezwykłą kobietą.

— Tak, — zaśmiała się sucho pani Wilms. Jestem zawsze czarno ubrana. Mniej więcej rok temu miałam wypadek śmierci w rodzinie. To przeszło. Prędko. Teraz dobrze. Najpiękniejsze, to moje podróże. Gdy sama jedna jechałam pod górę Jang Tse w łodzi z budką tylko dla siebie. Wspaniali chińscy służący! I przez dziką górną dolinę. A potem na małych górskich konikach, których żaden Europejczyk nigdy nie widział; o gdybym mogła pisać, Lilit, byłyby to cudowne książki. Wycieczki górskie, dniami całymi między życiem a śmiercią, w grozie niebezpieczeństwa od ludzi i przyrody. Nie wiedziano nigdy co trudniej ujarzmić: dzikich mieszkańców gór czy dzikie lawiny skał. Musi pani pojechać tam kiedyś z nim.

Lilit drgnęła, usłyszawszy, że do niej mówią.

Co to był za wypadek śmierci? pytała się. I niewyraźne przeczucie mówiło jej, że przygoda, opowiadana jej przez Niko pierwszego wieczoru, miała miejsce w tym domu i z panią Wilms. Siedziała z panią Wilms przy stoliku do herbaty, przeładowanym łakociami. Nazwa domu... wieża głodu... musiała mieć tajemne, wychodzące poza jedzenie znaczenie. Musiała w niej tkwić jakaś tajemnica. Obejrzała się, czy niema jakich drzwi zamkniętych, poza któremi kryłaby się trumna z siejącym przerażenie trupem.

Patrzyła ukradkowo i z trwogą na twarz pani

Wilms. Dojrzała, że jest w niej jakieś znużenie, które miały zatrzeć opowiadania o przypadkach podróży.

Ogarnęło ją współczucie i miłość do tej pięknej kobiety, której młodość i piękność zaczynała już kruszyć się, i która broniła się przedtem sztuczkami toaletowemi.

Pani Wilms, ujrzawszy badawcze oczy Lilit, zarumieniła się pod szminką lekko i zapytała wprost:
— Kiedy pani wychodzi zamąż?

— Pani Wilms, jeszcześmy tego nie omówili, rzekła Lilit z zakłopotaniem.

— Ney jest mężczyzną. Niech pani pozwoli to powiedzieć sobie doświadczonej kobiecie. Jest on mężczyzną, gdyż nie dlatego jest dzielny że pragnie wielkich rzeczy, ale dlatego, że są w nim wszelkie możliwości, które mogą rozsadzić codzienność, grasującą w takiej kolonji jak Szanghaj. Czy pani jest z niego dumna?

Lilit odpowiedziała rumieniąc się: — Niech się pani nie gniewa. Krępuje mnie to, że o nim mówimy.

— Czy powiedział pani, że był raz u mnie?

Gdy pani Wilms powiedziała to, Lilit spojrzała na nią przez chwilę bez słowa. Wydało się jej, że w duszy pękła jakaś szklana ściana. I nieodbicie objawiła się jej pewność, że przygoda Neya rozegrała się tutaj z tą kobietą i w tym domu.

Opanowawszy się trochę rzekła, — Proszę panią serdecznie, pani Wilms, nie wziąć mi za złe odpowiedzi, którą dać muszę. Czy nie moglibyśmy zmienić tematu?

— Dlaczego? Cóż jest bardziej interesującego jak człowiek, który jest mężczyzną? Dlaczegoż więc?

— Ponieważ mam wrażenie, jakby pani chciała

przezemnie dowiadywać się. Czuję do pani silny pociąg. Ale bez żadnego celu, tylko dla radości znalezienia w pani człowieka z własną duszą i z własnym losem.

Pani Wilms milczała chwilę. Wkońcu odpowiedziała spokojnym i poważnym tonem: — Pani uczucie nie myli pani, Lilit. Dobrze! Będzie on może szczęśliwy z panią. Być może, że ma pani dość tego, co może wypełnić byt mężczyzny w małżeństwie, aż do końca.

— Spodziewam się tego! — rzekła Lilit z dumą.

— Nie wie pani moje dziecko, jak wiele do tego potrzeba.

I jeszcze słowo w związku z tem: Życie nie jest rzeczą prostą, lecz prostszą, niż się wydaje przeważnie. Wszystkie tajemnice odsłaniają się pewnego dnia w sposób najbardziej naturalny.

Gdy pani Wilms mówiła to, Lilit ujrzała, jak mężczyzna jakiś w chińskim stroju szybkiemi krokami, ale w uroczystej postawie podszedł do terasy. Trzymał ręce w ruchu wytwornym, lekko wysunięte przed siebie i teraz Lilit zauważyła, że miał długą, gęstą brodę i był Europejczykiem. Podszedł lekko jak cień do pani Wilms, rozłożył ręce tak, że długie paznokcie noszone przez niego starym obyczajem wysokich mandarynów rozczapierzyły się na oparciu i schylił się ku pani Wilms.

Ta uśmiechnęła się łagodnie do niego. — Co takiego, profesorze?—zapytała.

Górnym tonem odparł: — Ona oczekuje mnie.

— Niech pan idzie, profesorze, rzekła łagodnie pani Wilms.

Poczem ów wyprostował się, wzruszony, uroczysty odszedł i zniknął w jakichś drzwiach.

Pani Wilms rzekła do Lilit. — Jest to profesor Dang

z Jeny. Jest on trochę niespełna rozumu i mieszka w moim domu. Był w jednym z uniwersytetów chińskich w głębi kraju i tak głęboko zatopił się w chińskim sposobie myślenia, że nie odnalazł już własnego rozumu. Teraz wierzy, że pędzi drugie życie na świecie, jako wybitny literat chiński, a przez wdzięczność za miłość do chińskiego ludu i pism z pierwszego życia, kocha go Kuan Jin, chińska matka boża, której piękną statuetkę z różowego kwarcu widziała pani w halli. Zdarza się często, że uczeni europejscy tracą rozum nad badaniem chińszczyzny. Szczególnie Niemcy, ponieważ ci już z natury swej narodowości mogą oddawać się i poświęcać bez hamulca rzeczom obcym. Albo też stają się pijakami.

---

## VII

Gdy obłąkany profesor zniknął, zaczęła Lilit wpadać w dręczącą i gorzką trwogę. Młode jej serce walczyło z chaotyczną posępnością, z której wystrzelały te trwożne odruchy. Lecz nie znalazła wyjaśnienia i rady.

Zdało się, jakby cień jakiś padł na los Niko Neya. Cień plątał się w wielu skrzyżowaniach w stosunku do warjata. Szybko wzrastał w Lilit niepokój i znów jasno zdała sobie sprawę, że widownia straszliwego opowiadania Neya, w pierwszy wieczór ich spotkania, nie była gdzieindziej, tylko w tym domu.

Opanowała miłością wszystkie odmawiające sobie posłuszeństwa władze. Chciała wiedzieć i przekonać się i zebrawszy całą odwagę, prosiła panią Wilms o pokazanie domu.

— Po co, kochane dziecię? zapytała pani Wilms z nagłem, niechętnem podejrzeniem. Ale zaraz uśmiechnęła się i rzekła: — Słusznie! Posiadam kilka dzieł sztuki, które napewno będą się pani podobały.

Pani Wilms powstała i pociągnęła Lilit za sobą. Młode dziewczę szło za nią niepewnie. W nogach jej drżała słabość, która w miarę chodzenia opanowywała coraz silniej jej ciało. Ale z siłą, której źródłem było jej młode, opanowane przez miłość serce, trzymała otwarte oczy i śledziła każdą ścianę

i zamknięte drzwi. Lecz wszystkie drzwi były przed nią otwarte. Wszędzie leżały jasne przestrzenie, stały meble, rozciągnięte dywany, pachniały kwiaty. Stara chińska porcelana była uporządkowana w serwantkach. Na gzymsach stały bronzy, obrazy i zwoje pism wisiały na ścianach. Obejrzała cały dom podejrzliwie, i podejrzliwiej jeszcze wypatrując tajemnicy, która jakoby była przed nią ukryta.

Ale tajemnica nie przychodziła.

Lilit uporządkowała pobieżnie w głowie rozkład pokojów. Plan domu leżał przed nią. Nigdzie nie było pomieszczenia, gdzie mogłoby się ukrywać coś straszliwego.

— Czy podoba się pani mój dom? zapytała pani. Wilms.

Lilit, żywiąc setki podejrzeń, zwlekała z odpowiedzią.

Wówczas wzięła ją Wilms w ramiona i rzekła z delikatnem wylaniem!

— Niech się pani nie martwi, kochane dziecię!

Lilit najchętniej byłaby się rozpłakała. Przeczucie mówiło jej nieomylnie, że dom ten mimo wszystko jest ten sam, o którym opowiadał jej Niko. Z dawną tajemnicą łączyła się nowa. Nowa tajemnica umacniała i zaciemniała dawną.

Z poza niepoznawalnego straszyło widmowe zjawienie się i zniknięcie obłąkanego uczonego raz, jak promień rozlewający światło na wszystko, raz jak cień mroczący. Serce jej ciążyło. Nie mogła obronić się przed myślą, że w tej ciemni gromadzą się niebezpieczeństwa, wymierzone nie tylko przeciw Niko.

Opanowała ją tęsknota i niespokój o niego, więc pożegnała panią Wilms; niepewna i starająca się

wielemównością pokryć tę niepewność, dziękowała jej za gościnę.

— Ależ Lilit, rzekła tamta — dlaczego pani dziękuje? To ja właściwie powinnam pani dziękować za przyjście. Czy pojedziemy jutro konno?

Postanowiono to i Lilit wyszła. Kazała się zawieść do mieszkania Neya. Tam dowiedziała się, że jest on w kantorze i pojechała na ulicę Foot-Szu.

Parowiec przywiózł popołudniu pocztę z Europy. Ney po spotkaniu z profesorem wrócił do domu, gdzie zastał wiadomość, że w kantorze jest poczta. Kazał jechać zaraz na ulicę Foot-Szu. Już w drodze zaczął blednąć wpływ obcowania z warjatem.

Jedno jest szczególne, rzekł Ney do siebie. Jestem kutym egoistą. I w jakąż niejasną sytuację wpadłem? Wpadam z jednej halucynacji w drugą. Czas już wyjechać do Europy i wyleczyć swą krew. Niejasna historja!

Stało mu się naraz jasne, że wszystko było obłędem fabrycznym, możliwym w tym stopniu tylko, wskutek przypadkowego wtrącenia się zwarjowanego uczonego. Wytężył całą energję swych nerwów. Całą siłę woli swego rozumu.

Z porywającą namiętnością myślał o swem przedsiębiorstwie, a duszę jego wypełniały marzenia odurzające o złotowłosej Lilit, która będzię wkrótce jego żoną i towarzyszką.

Pod pocztą znalazł projekt kosztorysu pierwszej fabryki, mającej powstać w Hankau. Wybiegł z nim zaraz do Nunga i pokazał. Nung powiedział, że dobrze się składa, gdyż pan Dji zapowiedział swe odwiedziny.

Gdy przyszedł pan Dji, zastał na stole Neya rozpostarte plany. Wyobrażały one budowlę we wszystkich szczegółach, jasno nakreśloną i opatrzoną wy-

czerpującemi objaśnieniami. Ney tłomaczył. Dji kiwał głową obojętnie. Ale stare jego serce płonęło. Był to czar Zachodu, przy którego pomocy można z obcych rzeczy robić pieniądze. Było to bajeczne wyzyskanie sposobności, którego doświadczył w dawnych stosunkach swych z Europejczykami. Wyobraźnia jego doznawała zawrotu wobec tych maszyn.

Rzekł spokojnie i pociągliwie. Mój wielki przyjacielu, te obrazy są dobre, Chińczycy nie mają tak bogatego umysłu jak cudzoziemski pan. Zastąpią go te obrazy.

Milczał i patrzył na plany, nie dotykając ich. Potem spojrzał znów na Neya, ale nic nie powiedział.

Ney miął wrażenie, że Dji chce wyrazić jakieś życzenie. Zapytał o to.

— Chińczycy są bardzo nieskromni! rzekł Dji, uśmiechając się grzecznie.

— Jestem do pańskiej dyspozycji; odparł Ney, proszę mówić, panie Dji.

— Dobrze tedy, za pozwoleniem pańskiem. Mogę zapewnić, że spełnienie mego nieskromnego życzenie będzie miało dobre skutki. Wyrażam więc swoje życzenie, abym mógł zabrać dziś wieczór te plany. Jutro zostaną one panu zwrócone jak najwcześnym rankiem.

Ney zastanawiał się szybko i bardzo pośpiesznie. Co chce tamten robić z planami?

Pokazać je i przekonać się naocznie. Czy może tu być nadużycie? Nie, gdyż zakupił na Chiny prawo pierwszeństwa.

— Ależ naturalnie, rzekł serdecznie, — proszę, są one do pańskiej dyspozycji!

Wtedy weszła Lilit. Poprzedziło ją delikatne stukanie. Ney nie słyszał tego. Stała tu między dwu

starszymi panami chińskimi, niby plama słoneczna ze słodkiej ojczyzny, leżącej w dali: Lasy w Colorado! zaśpiewało serce Neya. Pocałował czule jej rękę. Chińczycy powitali ją ukłonami poważnie i wielu grzecznymi uśmiechami.

— Pracujemy tęgo, rzekł Ney.

Lilit wyczuwa w tem ton uszczęśliwiena i momentalnie zniknęła cała jej podejrzliwość.

Pogładziła Niko szybko delikatnie po włosach i rzekła radośnie i żywo:

— Zaraz idę. Chciałam powiedzieć tylko — dobry wieczór.

Nie dała się zatrzymać i tak samo jak przyszła cicho i nagle, wysunęła się przez drzwi i na ulicę. Został po niej uśmiech na obliczu Neya. Ojcowskie oblicze Nunga zatrzymało również fałdy uśmiechu jeszcze w chwilę po jej wyjściu, a kurze łapki pod oczami pana Dji drgały ciągle.

Potem Ney ułożył rysunki i obaj Chińczycy wyszli.

Siedział chwilę sam, oddany swej fantazji, w której wszystkie wielkie plany, przesycone istnieniem Lilit jak słonecznym promieniem, rozwijały się w dal i zapełniały przyszłość.

— A potem, szepnął Ney unoszony dymem pachnących słonecznemi polami dalą morską Manila, — potem lasy Colorado. Lilit! Lilit!

Ney nie mógł rozstać się ze swem biurkiem. Było ono pokryte pierwszemi śladami zaczynającego się przedsiębiorstwa. Leżały tam obliczenia. Brał kartkę po kartce, zaglądał nie wnikając w szczegóły. Widział jak życie jego budowało się a liczby, pokrywające kartki, nabrały innego, tajemnego, poza arytmetyką znaczenia.

Rzekł wtedy głośno, w napływie uczuć, oblega

jących go na nowo gwałtownie; — Lilit i ja będziemy mieli dzieci! Dzieci!...

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Szorstki głos rozproszył obrazy rojeń. Wszedł van der Ceken, belgijsko-japoński mieszaniec i podbiegł ku niemu ze swę czworogranną bezkształtną głową, wolając: — Hallo! Ney, ukrywa się pan przed światem?

Czego on chce? pytał się Ney i patrzył niechętnie, na ospałą i zmysłową głowę tamtego. Nie chciał spojrzeć w jego oczy, drgające obcym jakimś połyskiem.

Nie obchodziło go to.

— Proszę, rzekł.

— Z czem? — zapytał Ney.

— Mam dwadzieścia zbędnych tysięcy. Chcę je włożyć.

Ney odsunął obliczenia, gdyż zdawało mu się, jakgdyby one, tające słodki, niesamowity sens przyszłości, mogły ulec zanieczyszczeniu przez obecność tego człowieka.

Van der Ceken strzelił bystrym wzrokiem ku rękom Neya i zezował w stronę pokrytych cyframi papierów.

— Jak daleko pan zaszedł?

Wówczas Ney rzekł nagle, nie mogąc wprost odsuwać tamtego: — Jeszcze nie jesteśmy zbyt daleko, dopiero zaczyna się. Muszę odejść.

Van der Ceken spojrzał zły w ziemię. Ney powstał. Miał wrażenie, jakby wyrzucony został z miękko jadącego powozu. Ogarnął go fizyczny niesmak.

Mam znowu period febry, rzekł do siebie, nadchodzi malarja. To jej godzina.

Opadły go dreszcze.

— Pan ma febrę! — rzekł van der Ceken.
— Tak... — odparł Ney. — Muszę wyjść.
— Pomogę panu!
— Nie, nie — zawołał Ney przerażony.
Mógł zaledwie znieść widok tego człowieka.
— Jak pan chce! — rzekł van der Ceken z zesznurowanemi ustami. — A więc innym razem.
Podał mu rękę.
— Czy mam mu podać swoją? — pytał się Ney, ale nie mógł opierać się. Van der Ceken miał przy swoim nieociosanym korpusie, delikatną, ładną rękę ludu swej matki. Ney przestraszył się, gdy ujrzał przy jego dłoni cienkie, smukłe palce. Kazał się zawieść rikszy do domu. Po przyjeździe był znużony i miał gorączkę febryczną. Wziął chininę i wypił whisky. W uszach czuł niemiły, głuchy szum. Skóra na głowie stężała w pergamin. Leżała na głowie niby coś obcego, co bez życia pokrywało krew i nerwy. Szamotał nim lęk. Miał wrażenie, jakby związano go z czemś martwem a przytem krew jego podniecona przez rojące się zarazki malaryczne, pędziła w gorączkowym parciu przez żyły.
Czy to wróci? — pytał się bez przerwy i nie wiedział, co to jest, co ma wrócić. Stała nad nim rozpostarta tylko jakaś groza ponura. Leżał na leżaku w gabinecie i musiał bezbronny poddawać się febrze. Opuściło go poczucie czasu. Straszliwe zmory przelatywały przez jego duszę, rodząc nieszczęsne bałamuctwa. Wcisnął się w plecionkę fotelu, chciał uciec od nich i przylgnąć do rozumnej, określonej ziemi. Wszystko napróżno. Wisiało nad nim niby belka na włosku coś, co było równocześnie malajką i profesorem. Chciał to rozbić na dwie istoty. Lecz nie dało się to rozdzielić, walczył w gorączkowym dygocie, zmagał się. Daremnie wszystko!

Naraz drzwi lekko się otwarły. Nie słyszał nic. Ale teraz rozdzielił szatańską istotę. Stał przed nim profesor. Oczy Neya zaciągała mgła febry. Widział postać w półświetle stojącej lampy.

— Zaprosił mnie pan wczoraj — wyszeptał głos Danga.

Ale Ney nic sobie nie przypominał. Bez słowa leżał bezbronny.

— Oto jestem! Pomówimy ze sobą! O wieczności. Zaprosił mnie pan na kolację. Ale ja nie jadam. Jest coś, czego pański kucharz nie umie przygotować: niebiańska potrawa trzeciego życia. O trzeciem życiu chcę z panem mówić. U wszystkich ludów trójka jest liczbą świętą.

— Proszę odejść! — rzekł Ney trwożnie, przestraszony.

Ale nie wiedział, czy usta jego zdobyły się na siłę wypowiedzenia tych dwu słów.

— Nie powinien pan wykręcać się od słów moich — mówił dalej warjat.

— Należy pan do tych nielicznych barbarzyńców, w których dostrzegam możliwość uratowania się dla trzeciego życia.

— Proszę mnie zostawić! — chciał jęknąć Ney.

— Zna pan drogę — szeptał profesor dalej niewzruszony i pochylił swe brodate oblicze nad leżącym. Światło lampy załamało się na wielkich, okrągłych szkłach binokli w tajemnicze znaki. Ney widział tylko je, nic więcej. Były one runami, wydającemi rozkazy.

— Zaczął pan drogę — rzekł Dang. Potem wyprostował się gwałtownie i dodał głośniej — Jest to czerwona droga, czerwona droga! Tu!

Odstąpił od Neya i poszedł do biurka. Wielka jego postać szła schylona, napół okryta w mro-

kiem nasyconem oświetleniu, z opuszczoną głową. Długa jego gęsta broda leżała na piersiach. Wyglądał mrocznie i dziko. Zarysy jego rozpływały się. Przemykał się tak, jak zrodzona z potworów istota, zbliżył się do stołu i położywszy rękę na prawą górną szufladę, zachichotał. Ney chciał zeskoczyć ze swego łoża, aby się bronić, zdusić potwora lub mu ulec. Być wolnym lub umrzeć. Lecz nie mógł oderwać żadnego członka od fotela. Jak przykuty leżał bez sił. Duch jego błądził w mroku. Mózg przesyciła febra.

Warjat wyciągnął zwolna szufladę. Bacznie grzebał w leżących tam papierach. Zachichotał znowu.

— Dlaczego odtrąca pan swe szczęście? Niech pan spojrzy tutaj!

Później wyjął sztylet. Trzymał go wysoko, niby przynętę.

— Tutaj jest narzędzie pańskiej szczęśliwości. Niech się mu pan nie opiera. Wykazał pan, że umie się pan z niem obchodzić. Czy przypomina pan sobie, kto zamordował tamtego człowieka? Człowieka, który leżał na ziemi? Kto? Jeśli mogę zapytać? Czy chce pan wymieść z siebie te wzniosłe fakty, jak śmiecie?

Dang czekał. Szkła jego okularów iskrzyły się w stronę Neya. Zdawało się, że są to oczy, lecz puste o ciemnym blasku. Rozum Neya rozprzęgnął się od febry i obecności warjata.

Głos Danga podniósł się. Zachęcającym tonem rzekł: — Niech się pan cieszy, jest pan na drodze właściwej. Na drodze tych, którym pomagają bóstwa. Jest pan zaraz poza mną... Niech pan patrzy!

Podniósł sztylet. Klinga zabłysła w świetle, jak płomień.

— To jest drogowskaz, płonący łaską. Niech pan idzie za mną!

Ostatnie słowa wypowiedział Dang tonem surowego rozkazu. Już kroczył ku drzwiom, ze sztyletem we wzniesionej w górę dłoni. Lecz ton rozkazu wyrwał Neya z niemocnego zamętu. Poprzez kołyszące fale febry dobyła się jego wola. Porwał się. Chciał strachom zrobić koniec. Jeśli to złudzenie febryczne, to rozbije wszystko. Jeśli to prawda, że warjat był istotnie w pokoju, wypędzi go. Lecz ta rozpętana wola spłonęła szybko.

Zaledwie Ney wstał, uczuł, że chwiejna słabość przenikała jego członki. Z trudem tylko zdołał się utrzymać prosto. Warjat wymknął się przez drzwi, pozostawiając je otworem, poczekał w sieni zachęcając. Ney opadł. Wewnętrzny jednak opór opanował słabnące siły cielesne. Zataczał się, czołgał się wściekły do Danga. Ów zaś sunął przed nim zwolna i lekko przez hallę, otworzył drzwi domu i wsiąknął w noc, nawołując...

Ostatnim wysiłkiem popędził Ney za nim w ciemności, skoczył ku niemu, jak pantera na łup. Chciał go zniszczyć, rozszarpać...

Czuł, że go dosięgnął. Ale pewny tego nie był. W tejsamej bowiem chwili upadł i stracił przytomności w poszumie mgły i ognia, które z krwi jego padły na mózg.

* * *

Ney obudził się. Zbudził się nagle z plugastwa złych snów. Leżał na murawie przed drzwiami swego domu. Drzwi były szeroko otwarte. Na niebie strzelił pierwszy szary pas dnia. Krzewy ogrodu poruszały sią od rannego wiatru. Były jeszcze

ciemne i szemrały jak żywe istoty, w tajemniczej rozmowie.

Ney był zmieszany i nie mógł się zorjentować. Patrzył dokoła, nie mogąc podnieść się zaraz, gdyż członki jego stężały od twardego łoża.

Opadł znów. Ręce chwytały trawę wokoło. Naraz w prawej uczuł mocne ukłócie, jak od skorpiona.

Zapuścił rękę w trawę i pochylił sią gwałtownie, przerażony nad tem miejscem. Ujrzał, iż obok ręki jego leżał w trawie malajski sztylet. Ostrze zraniło go w wierzch dłoni. Zrazu podniósł broń spokojnie.

Później wpadł do domu z bezsilnym, przeciągłym jękiem. Dreszcz opadł ciało. Przerażenie, tłoczyło się w sercu. Co się stało? Co się stało?

Znów ten sztylet! Tylko mi ciemnymi strzępami przebiegały mu przez głowę wspomnienia odwiedzin zwarjowanego profesora. Nie było pewności, nie było jasności. Mózg jego osłabł od febry. Członki były rozbite.

W pokoju osunął się zgnębiony. Sztylet trzymał w dłoni. Lampa stołowa płonęła. Czy to rdza czy krew? Nie. Nie mógł sobie wyjaśnić. Nie patrzył więcej. Bał się i nienawidził sztyletu. a jednak gdzieś w nierozeznawalnym chaosie swego wnętrza był jakby z nim spokrewniony, jednej z nim krwi.

Szukał kryjówki dla sztyletu. Błądził po pokoju, wsunął go za obraz. Lecz potem miejsce wydało mu się niedość bezpieczne. Schował go w kotarach. Lecz mógł go tam znaleść służący przy sprzątaniu. Wsadził go do stojącego zegara. Ale gdy go będą nakręcali, natkną się nań. Tak szukał tu i ówdzie. Ostatnie powiewy febry jeszcze nim wstrząsały. Ręce gorzały. Wkońcu położył się na ziemi i wsunął sztylet pod fotel w siedzenie.

Potem zdało mu się jakby powietrze w pokoju stało się kleiste i dusiło go.

Przyczołgał się do okna, aby je otworzyć. Sciągnął zasłonę. Na dworze zaczął się świt. Światło sączyło się szaro, zwolna i skąpo przez białe zasłony na szybach. Otworzył zasuwę w oknie i pchnął je. Stała tam na dworze, tuż przy oknie, Mela

Stała bez ruchu, jakby była drzewem. Twarz jej powlekał stężały uśmiech. Oczy jednak były przez ten uśmiech nietknięte.

Ale Ney, pokonany przez miażdżące znużenie i wyczerpanie, wysysające wszystkie siły nie mógł jej odróżnić od krzewów, przy których stała.

Upadł w tył na ziemię, zwolna obsunął się i zapadł początkowo w bolesny, później zaś wraz ze słabnącą febrą corazto spokojniejszy, głębszy sen.

* * *

Dji poszedł od Neya do resursy setszuańskiego kupiectwa. Bożek opiekuńczy gildji święcił tego dnia swe urodziny. Bramy dziedzińców były w dzień ten otwarte dla pospólstwa. Od rana do wieczora towarzystwo aktorskie grało w drugiem podwórzu stare, święte sztuki a na dziedzińcu tłoczyli się ludzie. Gawędzili, palili, gryźli ziarna słoneczników i wypluwali łupiny idącym przed sobą na plecy. Bajeczne zwierzęta przy wejściu do świątyń, leżącej naprzeciw teatru, były osiodłane przez chłopców, którzy nie mogli nic dojrzeć na dole wśród dorosłych.

Pawilon teatralny stał otwarty z trzech stron na podwórze. Otaczała go ciżba. Zagrzmiał bronzowy gong, skrzypce zaszemrały słodką usypiającą monotonją, xylofon wydał głos niby trele skowrończe,

flety zajęczały i zakrzyczały i raz po raz zlewały się wszystkie instrumenty w szalonym pędzie, wirowały w obłędnej ekstazie, powstał sabat djabelski tonów, który rósł coraz wyżej, wyżej a gdy osiągnął szczyt, niby spadając, naraz zamilknął.

Później jednak zaczął się psalmodyczny, fistułą brzmiący głos pięknej Kji, przedstawianej przez najbardziej cenionego aktora w kraju. Śpiewał swoją rolę, ponad głowę a tony perliły się po zielonej glazurze dachu, biegły wraz z jego szczytem z barwistych porcelanowych smoków ku niebu, dokąd porywały za sobą słuchaczy. Fajki zagasły, ziarna słonecznikowe zostały na języku. Gawędziarze zmilkli. Potem porwało tłum ludzki dzikie uniesienie. Gardłowymi głosami krzyczano i ryczano do aktora.

— Jesteś piękny! Piękny! Piękny!

Chłopcy nierozumiejący tego słowa, śmiali się. Gong zmiażdżył głos pięknego Kji śpiżowymi grzmotami. Jakiś człowiek z bujną brodą, obwieszony ciężkiemi szatami, których hafty błyszczały wszystkiemi barwami, zaczął okrążać scenę, nadętym krokiem męskiego pawia, podrażnionego miłośnie, zarzucał w boskim gniewie swą potężną brodę prawą ręką na lewe ramię i znów opuszczał ją niby wodospad na prawą a przytem śpiewał stary psalm swej roli. Mężczyźni gadali znowu, palili, pluli.

Chłopcy jeździli na bajecznych potworach i kwiczeli z uciechy.

Trwało to godzinami, jedna sztuka następowała po drugiej.

Członkowie gildji przechodzili ze świątyni do salonów, pili herbatę z południowych od Szanghaju okolic. Była ona mieszana z suszonemi płatkami

jaśminu i przesycona słodką wonią; palili z cudownie cyzelowanych lub krytych emalją małych fajeczek i oddawali się obfitej biesiadzie.

Wieczorem miało być roczne zebranie, na którem wybierano nowego prezesa. Członkowie byli poruszeni, jak nigdy od lat. W gildji powstały ostatniemi czasy dwa prądy. Na czele jednego stał Dji Fa San, druga grupa przyłączyła się do sekretarza gildji, literata Kwei. Winę rozłamu ponosił Ney. Gdyż on właśnie, silniej niż mógł się spodziewać, zjednał dla swych projektów sławnego pana Dji.

Dji posiadał większość pośpiesznych łodzi, przewożących towary z Setszuanu, Yinanu i z Tybetu do Itsang. Przytem miał pewną ilość akcji towarzystwa okrętowego „China Merchants Co.,“ której parowce łączyły Szanghaj z Hankau, Tszangsza i Itsangiem i usiłowały czynić japońskim statkom konkurencję.

Gdyby możliwości obrabiania surowców, mającego się dokonywać w Hankau, mogły być zwiększone, podniosłaby się przez to produkcyjność tych okrętów. Ney był właśnie człowiekiem, który do tego podniesienia dążył. Trzeba mu było pomóc. Przeciwnik Dji, Kwei piastował jako sekretarz Uluba setszuańskich kupców najbardziej wpływowe stanowisko wewnątrz gildji gdyż był jej przedstawicielem na zewnątrz i wobec władz. Kwei był zwolennikiem starego systemu i do gruntu wrogiem „białych djabłów“, powołując się zawsze na historję. Urządzenia które przeciwstawiono ich zakusom i działalności, drogą uświęconych i ustalonych przez tajne związki sposobów, nabrały trwałości. Pocóż naraz odrzucać stare, dobre sposoby i wydawać się na łup?

Te konserwatywne myśli miały za sobą silne stronnictwo. Był on bez przerwy zajęty utrzymaniem

przewagi i wybrał roczne zebranie, jako próbę sił przeciw Dji. Dji był kandydatem na przewodniczącego. Kwei pracował namiętnie przeciw niemu.

Na godzinę przed wyborami, Dji przyszedł do gmachu gildji, poprosił panów o udanie się za sobą do pokoju obrad i przedłożył im tam plany, które wziął od Neya. Mówił krótko, dodając rzeczowe objaśnienia tłomaczył jak pracuje maszyna, której obraz miał przed sobą. Jednego dnia można żółtko, drugiego białko, trzeciego materje garbarskie, w czwartym zaś inne produkty uwolnić od wody i zmienić w postać proszku. Możnaby szybciej pracować i zwiększyć wydajność. Oszczędzałoby się nietylko na frachtach, ale i na opakowaniu, które musi się sprowadzać, jako robione przeważnie z blachy, z Europy. Odbiorcy mogliby taniej sprzedawać a więcej płacić. Dziś potrzeba do różnorodnych robót przedwstępnych nad temi towarami tysięcy rąk. Przy nowych urządzeniach dałoby się to zrobić tuzinami. Właściciele kopalni węgla mogliby rozbudować swe sztolnie i liczyć na pewnych i płacących klijentów. Miałoby się jednorazowe koszty a oszczędności na dziesiątki lat. Ale dałoby się to uruchomić tylko pod warunkiem, gdyby możliwie największa ilość kupców dostarczała swe towary, aby można wyzyskać w pełni maszyny. Konjuktura w obecnym momencie jest tem szczęśliwsza, że możnaby wyzyskać wysoką, opartą na pokryciu srebrem walutę przeciw pieniądzom zagranicy dostarczającej maszyn. Kwei zwrócił się gwałtownie przeciw niemu,

— Szanowny pan Dji chce nas zaprzedać cudzoziemcom. Maszyny te zbudował zły duch europejski, aby synów synów państwa środka wprowadzić na pokuszenie. Odstąpcie od tych wież djabelskich

i kół szatańskich! Trzymajcie się świętych ustalonych przez wieki obyczajów! Obcych djabłów nęci wasze złoto, wysocy panowie, i ich internacjonalne, skradzione nam kolonje. Poznajcie to jasno!

Ale Dji odparł spokojnie: — Obawy te zburzę. Skłonię obcego kupca, aby postawił fabryczne zakłady nie na międzynarodowym terenie Hankau, ale na chińskiej ziemi przedmieścia Hangang. W ten sposób będą one podlegały ze wszystkiemi agenturami naszym władzom.

— Naszym władzom! — zawołał Kwei z gwałtownem szyderstwem. Co to są nasze władze, odkąd pan najwyższy został ograbiony ze swego tronu?

Przekupieni przez Japończyków, przez białych nędzni parobcy... Nasz kraj nie ma już szlachty, zwiędniał już kwiat potęgi, z którego tryskała sprawiedliwość.

— Wysoko urodzony, wyróżniony egzaminem pan Kwei, — przerwał mu Dji z cichym, wytwornym uśmiechem — zna pisma naszych mędrców lepiej niż ja nieuk bez wykształcenia. Ale nie zachował w pamięci korony uczoności w postaci przysłowia mędrców: Gdzie potęga tam bóstwo! Czasy zmieniają się. Gdy pan Kwei jedzie w sprawach gildji do Hankau nie bierze łodzi wiosłowej, jak to było za czasów wielkiego Ming, lecz używa szybkich i wygodnych parowców. A parowiec także został zbudowany w kraju, który obecnie ma nam dostarczyć maszyn.

Wtedy rzekł ktoś głośno: — To prawda!

Przy następujących wyborach został Dji wybrany przeważającą większością głosów.

*  *
*

Wczesnym rankiem następnego dnia zaprowadzono Dr. Sl w okolicę Jamenu Taotai, leżącego w południowo-wschodnim zakątku dzielnicy chińskiej otoczonej wysokim murem. Patrol wojskowy podczas rontu porannego znalazł tam człowieka, który sądząc według budowy, musiał być Chińczykiem z północy. Na wysokiej, gładko ogolonej głowie miał on czapeczkę z białym guzikiem, co wskazywało, że był w żałobie. Zabił go ktoś uderzeniem sztyletu między łopatki, w serce.

Gdy pomocnicy sędziego studjowali trupa według „instrukcji dla badaczy trupów“ i próbowali oficjalnych przepisów poznawania zbrodni na ciele. Sl, nie troszcząc się o podręcznik, oglądał ranę.

Trupa dostarczono do Jamenu, gdzie leżał na pryczy, z twarzą w dół i odsłoniętym grzbietem. Niby mały krater otwierała się rana na płaszczyźnie pleców. Wyglądała niby otwór, ziejący tajemniczą lawą, przez który wydarło się życie z wielkiego, silnego ciała.

Dr. Sl zajrzał do krateru. Duch jego został porwany niby niewidzialnym prądem w głębokie ciemnie, otaczające tajemnicę mordu. Cienie opływały miasto, okrążyły pierwsze morderstwo na ulicy Czerwonej gwiazdy, stały cicho około jakiegoś człowieka nierozpoznawalnego, który gdzieś w nieprzeniknionej warstwie siedział i pracował. Więcej skrępowany duch Dr. Sl nie dojrzał.

Oto siedzi morderca! rzekło wewnętrzne oblicze Dr. Sl. To ten sam, który odebrał życie człowiekowi z ulicy Czerwonej gwiazdy.

Ale mimo wszelkie wysiłki przeniknięcia ciemnej

drogi, obraz nie zdradził więcej, poza niepewnem zjawiskiem gdzieś w jakimś domu.

Później Sl zwilżył ranę octem, zrobił odcisk jej na ryżowym papierze, chcąc porównać go z otworem śmiercionośnym pierwszego trupa i kazał swym tragarzom odnieść się z powrotem.

* * *

Po twardym śnie Ney zbudził sią późno, Febra przeszła. Sen postawił go znów na nogi. Ale z rojeń, których błędne wspomnienie kołysało się w nim, pozostał dręczący niepokój, jakgdyby nie wszystko śnione w gorączce febry było tylko snem. Zdawało mu się, jakby obrazy te podlegały jakiejś rzeczywistosci, do której nie dorastał.

Lilit wyrzekła słowo o lasach Colorado. Czy nie lepiej byłoby wszystko porzucić, wszystkie przedsiębiorstwa, interesy, wszystkich tych obcych ludzi tutaj i uciec z nią tam, gdzie było uwolnienie od okoliczności, niepojętych dla niego, ponieważ popadł w nie podczas swego piętnastoletniego pobytu w krajach tropikalnych, i do tej pory miał dość sił cielesnych, które zwalczały wszelką febrę.

— Lilit może mi pomóc! — rzekł głośno do siebie. Uprzytomniał sobie w tysiącznych, zmiennych obrazach upojną łagodność, świeżość, siłę, piękność, młodość jej i rozpływał się.

Zanim pojechał dalej do hotelu Kali, zaszedł prędko do kantoru na Tootszu. Leżały tam na biurku rysunki, odesłane rano przez Dji. Zaraz potem wszedł Nung i obwieścił o sukcesie Dji na dorocznem zebraniu. Wtedy Ney zatopił się znów w swych planach. Odłożył wizytę u Lilit, usiadł nad obliczeniami i rysunkami, pracując wśród nawału myśli. Sprawa po-

sunęła się teraz już tak daleko, że można było zainteresować nią Europejczyków i Amerykanów; notował więc nazwiska ludzi, których uważał za odpowiednich.

Telefon zadzwonił. Była to Lilit. Miała załatwić pewną misję od pani Wilms. Ale Ney, wyrwany przez tęsknotę do dziewczęcia nieznacznie z toku pracy, rzekł gorąco: — Przyjdę zaraz do ciebie, Lilit. Tęsknię.

— Niko, co ci jest? — odparła Lilit.

Ale Ney rzekł tylko: — Przyjdę zaraz!

Gdy wszedł do hotelu do Lilit, pogładziła go po głowie, a jasne jej oczy miały stężały wyraz, badawczo-trwożny, nieznany Neyowi i rażący.

— Niko — rzekła Lilit — nie wiem, co się ze mną dzieje; od czasu niedawnego pobytu u pani Wilms, obawiam się o ciebie.

Ney przeraził się. — Co to wszystko znaczy? — zapytywał się.

— Co ma pani Wiims ze mną wspólnego? Dlaczego trwożysz się o mnie?

— Niko, chciałabym coś omówić z tobą. Opowiadałeś mi raz, że widziałeś tutaj w pewnym domu trupa w salonie, a pani domu... — Lilit zmieszała się. Później zapytała gwałtownie: — Czy to było w domu pani Wilms?

— Tak — rzekł Ney — skąd wiesz o tem?

— To nieprawdą — rzekła Lilit — w domu nie leży żaden trup.

Ney zerwał się. Co to znaczy wszystko? — zapytał się znowu.

— Przeszłam cały dom, byłam we wszystkich pokojach — mówiła dalej Lilit. — Śniło ci się to.

Ney czuł urazę do Lilit. Czego chciała z tą historją? Usiłuje go przekonać, że nie może już pole-

gać na swych oczach? Na swych uszach? Aby nie dopuścić do dysharmonji, rzekł — Czego chce pani Wilms odemnie?

— Prosiła, o możność odwiedzenia cię jutro w kantorze?

— Naturalnie! — powiedział Ney.

Usiadł ciężko. Co to było?

Przyszedł, aby znaleść pociechę i spokój przy Lilit, a doznał tylko złośliwego buntu przeciwko niej.

— Sądzę, Niko, że pracujesz za wiele — rzekła Lilit. — Wyglądasz taki zmęczony!

— Pojadę do domu. Muszę spać — odparł nagle Ney i pożegnał się.

Lilit została w hotelu smutna i przestraszona. Ney pojechał do domu. Położył się na leżaku w gabinecie. Oczy jego przywarły do fotela klubowego, który stał w pobliżu. Opanował go przymus dotknięcia fotela, a równocześnie niepohamowane pragnienie ujrzenia Meli i opowiedzenia jej, jakto raz zabłądził w lasach Sumatry. Był to las na wschód od morza Toba, który przerastał wulkan Sinambung. Las był bez ścieżki, a Ney musiał torować sobie drogę nożem. Przyszła noc. Nie zorjentował się. Znalazł o zmierzchu ślad tygrysa i nie mógł nocować na ziemi. Dlatego wyszukał sobie drzewo. Gdy znalazł drzewo, które mógł objąć ramionami, wyjrzało na niego z ciemności dwoje nieruchomych, spokojnych oczu. Więc wdrapał się, ratując się, szybko na pień. Oczy zostały na dole w ciemności. On zaś nie potrzebował wcale wspinać się, gdyż rósł sam przez się z drzewem w górę.

Był już tak wysoko, że oczy już go dosięgnąć nie mogły. Śmiał się. Lecz naraz drzewo obróciło się i rosło znów z Neyem w dół ku oczom. Te otwarły

się niby paszcza. Wrósł w jej wnętrze. Pachniało czarną ziemią...

Ney zasnął...

Czarna ziemia powstała nagle niby mglista tajnia, która dla białoskórych ludzi uległa zatraceniu. Istota podobna do goryla stanęła przed nim. Miała dwa wielkie, okrągłe szkła okularów, dziką brodę i długie, jak ołówki paznokcie. Mela podała Neyowi kanciasty sztylet. Dzięki Bogu, mógł się teraz bronić i uwolnić...

Gdy Ney obudził się z tego snu, było już ciemno. Przenikało go łagodne rozbicie w członkach. Aby się rozruszać trochę, poszedł do przystani i przyglądał się grze świateł na Kuangpo. Zarzucał kotwicę europejski handlowy parowiec. Rój sampanów biegał między nim a mostkami. Parowiec z Hankau, „China Merchants Co.", szedł w górę rzeki. Droga była zalana Chińczykami. Ney szedł wzdłuż rzeki i niepostrzeżenie znalazł się w dzielnicy chińskiej, zabawił chwilę przy posiadłości, otoczonej białemi murami, gdzie mieszkał Taotaj ze swymi pracownikami i poszedł dalej.

W jakimś ciemnym zakątku wpadł w strumień ludzki, któremu dał się unieść. Później miał niejasne wrażenie, że ktoś idzie za nim w tłoku. Oglądał się często, nie mógł jednak odkryć nikogo, kto robiłby wrażenie obserwatora.

Ciągle z tłumem przybył wreszcie do przecinającej chińską dzielnicę od zachodu do wschodu rzeki.

Było w tym samym czasie, gdy dr. Sl szedł na miejsce nocnego mordu przy Jamenie Taotai, krótko tam zabawił, oświetlając ślepą latarką mury, pod któremi leżał zamordowany i zagłębiwszy się w swą drugą duszę powracał. Skierował się przez przecznicę i wyszedł na tłum kroczących ludzi. Uczuł się

nagle pociągnięty przez coś z tego tłumu i wmieszał się weń. Widział przed sobą między innemi grzbiet jakiegoś mężczyzny. Mroźny chłód chwycił go nagle za skronie. Przybliżył się śpiesznie z boku do tego człowieka tak, że tamten musiał stanąć.

— Spójrz na mnie, zaraz! — rozkazał mu głosem prędkim.

Otworzył w tej chwili wizer ślepej latarki i puścił promień w twarz człowieka.

Wtedy ujrzał Sl, że to Europejczyk. Sformowany w duszy jego obraz rozpłynął się natychmiast od nieoczekiwanego zjawiska. Odwrócił się szybko i chciał się oddalić, gdy stanął oko w oko z warjatem w wieży głodu, idącym krok w krok za tamtym. Dopiero wszedłszy w boczną ulicę Sl uświadomił sobie, że ten, którego oświetlał był tym samym człowiekiem, co wraz z warjatem stał na miejscu morderstwa w ulicy Czerwonej gwiazdy, że to europejski kupiec z francuskiej koncesji.

— Będę ścigał go jak pies gończy! — rzekł.

---

## VIII

Pani Wilms przyszła w towarzystwie Lilit do kantoru Neya. Było to popołudniu. Ney podsunął obydwom damom fotele klubowe, a sam usiadł przy biurku. Był po rozmowie z amerykańskimi finansistami i miał lepszy humor.

— Tak uroczyście?— rzekła Lilit. — Wsadź sobie pióro za ucho, proszę!—

— Czy nie zmniejszyłoby to powagi, gdybym zamiast usiąść przy stole usiadł na stole?— śmiał się Ney i usiadł na stole.

— Pani Wilins chciałaby zanieść do ciebie prośbę.

— Prośba — wtrąciła pani Wilins, — jest tak uroczysta. że musi pan z powrotem usiąść na swojem miejscu przy stole.

— Pozwoli pani, że połączę te dwie rzeczy, siedząc na stole postawię nogi na fotelu. Gdybym był Anglikiem, zrobiłbym odwrotnie dla podniesienia niedbałości. Pani Wilms jestem do dyspozycji pani.

— Czy mogę mieć odwagę! Jest to szczególna prośba, będzie się ona wydawała panu cudaczna. Tem cudaczniejsza że są poza nią przyczyny, których nie mogę wymienić, które jednak mogą się panu przydać, — rzekła pani Wilins.

— Ale Lilit zna je?

— Nie, panie Ney, tylko ja je znam.

— Muszę się przeto usadowić znów jak człowiek poważny.

Usiadł na fotelu.

— Niech pan przyzna, panie Ney, że nie wie pan nic szczególnie dobrego o mnie. Nie będę się spowiadała, lecz powiem tylko, że jakkolwiek byłam zamożna, prowadziłam życie cokolwiek kawalerskie. Tak jak pan dotąd. Pan życia tego zaprzestanie i ożeni się. Jest zwyczajem, że kawaler zanim przestanie być wolnym, wydaje pożegnalną ucztę dla swych przyjaciół i znajomych. Mam obszerny dom. Niech pan święci tę pożegnalną ucztę w nim. Wielkie pokoje, rozległy park będą się chyba nadawały lepiej do tego celu niż pańska willa. A ja także jestem czemś w rodzaju kawalera... co pan sądzi o tem?

Ney milczał zdumiony i zakłopotany.

Lilit sądząc, że milczenie jego oznacza odmowę, wtrąciła się.

— Pani Wilms i ja omówiliśmy tą myśl. Wiele rzeczy ułożyłyśmy już. Nie prawda że nie dasz nam kosza?

— Czy ty również jesteś okolicznościowo kawalerem i chcesz brać w tem udział? śmiał się Ney. — Wie pani co, pani Wilms, przyjmuje miłą propozycję. Lecz pod warunkiem, że Lilit weźmie udział w uroczystości.

— Oh, mój kochany, — dorzuciła Lilit, — to było tak czy tak postanowione. Ułożyłyśmy nawet, że będzie się opowiadało o malajskich dziewczętach.

— Świetnie! — zawołał Ney rozradowany. — A więc pani Wilms, dziękuję serdecznie z góry.

— Przekona się pan później, że podziękowanie będzie całkiem po mojej stronie, — rzekła pani Wilms.

— Zaciekawia mnie pani nadzwyczajnie, — pani Wilms.

— Ilu gości pan zaprosi? — zapytała pani Wilms.

Neyowi wydało się, jakby w pytaniu tem rzeczowem, kryło się coś więcej; jakby twarz pytającej przybrała wyraz naprężonej uwagi.

— Nie wiem, — odpowiedział po chwili.

Pani Wilms rzekła prawie niecierpliwie, jakkolwiek opanowanym tonem. — Nigdy pan nie miał kłopotów gospodarskich. Widać to, kochany panie Ney. Trzydzieści? Tak, mniej więcej, napierała.

— Chwileczkę, szanowna pani. Jeśli liczba jest tak ważna, mogę pani wymienić ją zaraz.

Zajrzał do książki adresowej i robił kreski na papierze.

— Trzydzieści! — rzekł potem. — Najmniej trzydzieści.

Pani Wilms odparła znów tonem swobodnym: — Ile pan chce! Niech pan zaprosi czterdzieści. Zdarzają się zawsze odmowy.

— Wobec takiej kobiety jak pani? Nie! — rzekł Ney grzecznie, z zakłopotaniem.

— Panie Ney, moja sława jest nienajlepsza. Słyszał pan o tem. Przytem dom mój nazywa się wieżą głodu! Czy zechce mi pan mimo to powierzyć swych gości?

Pani Wilms rzekła to z nagłą szorstkością a twarz jej drgała.

Wtedy Ney pomyślał o swej pierwszej wizycie. O jej zachowaniu się wobec siebie... o tajemnicy w salonie. Zaczął przeczuwać, że ta uczta, ta istotnie niezwykła uczta ma związek z tajemnicą... w złem, czy w dobrem! Co się w tem kryło? A Lilit, Lilit ze swym trudnym stosunkiem do innych ludzi została szybciej podbita przez panią

Wilms, niż przez jego miłość. Uczucie, które zawiodło go do niej po wypadku ze zmarłym, zostawiło w nim bezkształtny, jednak współczujący związek z tą kobietą.

Przez kilka chwil milczeli wszyscy troje. Potem Ney wstał i potężnem swem ciałem, ciężkim krokiem zbliżył się do pani Wilms, podniósł i ucałował jej rękę.

— Cieszyłoby mnie bardzo, gdybym mógł panią zaprosić dziś na herbatę do swego domu, — rzekł. — Jeżeli to pani odpowiada, możemy zaraz iść.

Naprężenie pękło. Opuszczono kantor w dobrym humorze. Na dole czekał powóz wiktorjański pani Wilms, którym pojechano do willi Neya.

* * *

Tego samego popołudnia w dzielnicy chińskiej odbyła się manifestacja; urządził ją Związek Prawdziwych Synów. Napisano tablice, na których można było wyczytać ciemnemi literami: „Gdzie? Gdzie?," na innych zaś: „Jesteśmy mordowani nocą, przez kogo? Lub: „Zamykajcie drzwi, otwórzcie oczy!"

Było wiele tablic z napisami w tym rodzaju. Na końcu zaś niosło dwu ludzi jedwabną chorągiew, błękitną a na niej białemi literami żałoby było wymalowane: „Czyście zapomnieli, o bitwie na „płaskiem bagnie?" „Płaskie bagno" był to stary przydomek Szanghaju. Podczas rewolucji Tajpingów, w latach pięćdziesiątych, Francuzi z kolonji Szanghaju wystąpili początkowo po stronie wojsk cesarskich. Ale w kwietniu 1854 roku podeszły wojska cesarskie z dzielnicy chińskiej do europejskich kolonij. Wówczas zjednoczyli się amerykańscy i angielscy mieszkańcy Szanghaju, i z poparciem

artylerji okrętów swych krajów z Huang Po, napadli na Chińczyków, odpędzili ich i zabili wielu. To starcie, niezapomniane przez Chińczyków, nazywano bitwą na „płaskiem bagnie“. I o niem to wspomniała błękitna chorągiew, kończąca pochód, wskazując, że miał on znaczenie swoje dla cudzoziemców.

Sędzia prowincji Dr. Sl spotkał pochód, kazał zawołać jednego z uczestników do swej lektyki i zapytał. Znaczenia domyślił się zaraz. Zapytany Chińczyk odparł, że jakiś obcy morderca chodzi po Szanghaju i zabija Chińczyków. Skąd wie on o tem? zapytał Sl. Codzień znajdują jednego zamordowanego. Tak, ale skąd sądzą, że morderca jest cudzoziemiec? Pa zapachu trupów, odrzekł tamten, można poznać, że mordercą jest cudzoziemcem. A także kształt rany pokazuje oczom, że mord został dokonany przez cudzoziemskiego djabła.

Czy widział któregoś z zamordowanych? pytał Sl.

Nie, odpowiedział pytany.

Któż to ma taki delikatny nos i takie bystre oczy?

Literat Kwei, syndyk gildji kupiectwa setszuńskiego, brzmiała odpowiedź

W dzień potem Kwei otrzymał zaproszenie do Jamenu. Zanim się wybrał, kazał znajomym i nasłanym ludziom dowiedzieć się, poco go wzywają do Jamenu. Był to czas politycznych wahań. Przyjaciele cesarstwa dawali znać o sobie wszędy w państwie a to wywołało w Pekinie ostre przeciwdziałanie. Gdy człowiek pokroju Kwei, zwolennik starego systemu szedł na wezwanie, nie mógł być pewny, czy wróci wieczorem do swych dzieci i swego domu.

W ciągu przedpołudnia dowiedział się, że wezwał go sędzia prowincji Sl.

Dr. Sl wyniesiony do wysokich godności przez cesarza, był znienawidzony u wichrzycieli. Uważali go za zdrajcę idei cesarstwa. Traktowano go podejrzliwie, prześladowano z zapałem, który, pomieszany z obawą przed jego nadnaturalnym darem i z szacunkiem dla jego wykształcenia, gorzał płomieniem.

Dlatego Kwei, usłyszawszy, kto go zaprosił, wahał się zarówno między obawą a posłuszeństwa wezwaniu, a trwogą przed nieusłuchaniem go. Wezwano go na popołudnie i gdy przyszła pora zamówienia lektyki, nie zdecydował się jeszcze, czy posłuchać czy też umknąć pod opiekę międzynarodowej kolonji. Opuścił dom i kazał tragarzom iść za sobą. Powoli szedł wzdłuż ulicy. Gdy przyszedł na róg, spotkał go człowiek, który na jego widok usunął się i wszedł do domu.

Kwei podszedł do domu oczekiwanie i zniknięcie człowieka uderzyło go. Nagle opadła zasłona z drzwi. Kwei szedł dalej. Oglądając się, zauważył kogoś, idącego tuż za tragarzami. Ulice były bezludne w tej stronie, z powodu żniw ryżowych O dwa rogi dalej zniknął jakiś człowiek za domem Na następnym rogu wynurzył się inny, idący na przeciw. Przeszedł blisko niego. Kwei usłyszał, że tamten stanął.

Wówczas postanowił Kwei nie pójść do sędziego prowincji, lecz udać się do francuskiej koncesji i tam się ukryć. Gdyż możliwe, że ludzie ci byli postawieni do pilnowania go i Sl chciał mu urządzić zasadzkę. Spodziewał się, że szukając bardziej ożywionych ulic, będzie mógł pewniej umknąć siepaczom Sl i szedł w kierunku herbaciarni Husung-

ting. Musiał przytem zmienić ulicę i zejść ku północy, gdy droga do sędziego prowadziła wprost na południowy wschód.

— Chodź — zawołał do służącego, który szedł przed nim i miał zamiar iść dalej prosto. Służący podszedł. — Pójdziemy na główną ulicę, tam wsiądę do lektyki a ty powiesz tragarzom, aby opuścili miasto przez wyjście północne, ile tylko sił w nogach.

Chciał przytem skręcić w bocznicę.

Nagle wyszło tam z jakiegoś domu dwu mężczyzn, ubranych jak kupcy.

Kwej przeraził się ich nieoczekiwanem zjawienim tak, że przybywszy już do rogu, szedł dalej tą samą ulicą. Służący słysząc, że nie idzie za niem zawrócił. Kwei wybrał następną ulicę, aby wymknąć się ku północy.

Gdy go służący wreszcie dopędził, rzekł do niego: — Zostaw mnie samego, idź za lektyką.

Kwei doszedł do drugiej ulicy. Stał tam na rogu człowiek. Miał on szatę przyzwoitą i patrzył na Kwei. Lecz gdy Kwei zrobił dwa kroki w ulicy tamten również zrobił krok w tę stronę.

Kwei nie chciał ryzykować niepotrzebnie. Miał jeszcze do dyspozycji dwie boczne ulice przed wejściem na ulicę Jamenu. Na pierwszej spotkał trzech ludzi, na rogu drugiej stało dwóch, zaś dwóch innych wyszło w chwili gdy się ukazał, z dwu domów po lewej i prawej stronie.

Teraz Kwei był pewny, że obstawiono go systemem nie do przerwania.

Poczuł zimne pchnięcie w ciele. Poddał się i wsiadł do lektyki.

— Do sędziego prowincji! — rzekł głośno, aby szpicle i siepacze mogli go dosłyszeć.

Gdy Kwei zjawił się przed Sl, ten obchodził się z nim z zachowaniem wszelkich form. Wyszedł naprzeciw, zapytał się troskliwie o zdrowie, usadowił go według przepisów grzeczności po lewej ręce, a służący wniósł dwie filiżanki „gościnnej herbaty“, podając je gościowi i panu domu ze skrzyżowanemi rękoma.

Po skończeniu tych ceremonji, zapytał Sl z uśmiechem przyjaznym i wzmożoną uprzejmością: — Mój wielki, uczony brat chciał uciec? Szkoda, że mu się to nie udało, gdyż w ten sposób nie spełnił jednego ze swych życzeń. Z drugiej jednak strony straciłby jego oddany sługa rozkosz tej rozmowy. Spotkałem pochód „Prawdziwych Synów.“ Niech mi wasza wysoka uczoność przebaczy, że wdaję się w takie drobnostki i trudzę ją tem, iż muszę ją wybadać. Lecz słyszałem przytem nowość, interesującą niezmiernie mój urząd: że duch pański lotny i kwitnący rozporządza zdolnością określania bliższych szczegółów, dotyczących mordercy, z zapachu trupa i z wyglądu ran. Jak pan to robi?

Kwei, którego myśli ciągle jeszcze zajęte były otoczeniem, siepaczami, przeczuwał poza temi słowami pułapkę i odparł wymijająco: — Podległy panu pod względem wiedzy, ale w ukochaniu mądrości równy panu przyjaciel, panie Dr. Sl, rozumie niezupełnie pańskie słowa. Jakto on chciał uciekać...

— Przebaczenia, wielce szanowny. Mam na myśli to, że wysłał pan swego służącego naprzód, aby przez bocznice dotrzeć do części miasta cudzoziemców, którzy zresztą nie cieszą się pańską miłością... nieprawdaż? Serce moje okrywa szczera żałoba, że nie mógł pan użyć wcale bocznych ulic, ażeby osiągnąć ten cel...

Dr. Sl uśmiechał się ciągle jednakowo i igrał rzniętym kryształem, trzymanym w ręce.

Obracając kamień, rzucał wiązkę refleksów świetlnych, które migotały w oczach Kwei. Kwei zmęczył się tem, jakby patrzył długo w słońce. Milczał.

Sl mówił dalej ze stałym uśmiechem, miękko przeciągłym, skandowanym tonem; — Mój brat musi milczeć. Żal mój zwiększa się. Mam z nim do pomówienia o rzeczach wielu i wielkich. Rzeczach, które wytężają ducha, wiążą go i nużą...

Słowo „nużą" podkreślił nieco przeciągłym tonem. Podkreślał dalej to słowo, porzucając wszelkie wstępy i zapytał rzeczowo, bezpośrednio: — Czy jest pan znużony? Sin k'u bu sin k'u... — przez nos rozciągał brzmienie słów i kładł na to nacisk.

Kwei skinął.

— I jest pan teraz gotów odpowiadać mi na to, o co zapytam?

— Dobrze. „Prawdziwi synowie" zostali zgromadzeni przez pana. Znam cel pański. Jako urzędnik przymknę na to oczy. Miłość do kraju środka jest tu i tam, między nowymi i między starymi, do których się pan zalicza.

— Jestem sędzią prowincji. Zdarzyły się dwa tajemnicze morderstwa w Szanghaju. Pan powinien wiedzieć coś o śmierci tych zamordowanych. Nie znamy życia, rzekł mędrzec, jakże możemy wiedzieć, czem jest śmierć! Chciał pan tych zmarłych wyzyskać przez pochód „Prawdziwych synów" dla swoich celów. Skąd zna pan jednak sprawców, mówiąc, że są to cudzoziemcy? Czy widział pan trupy? Proszę odpowiadać!

— Nie! — rzekł Kwei, jak z głębokiego snu. Oczy miał napół zamknięte. Powieki opadły ciężko na oczy.

— Wiedział pan o kształcie ran?
— Nie!
— Czy opowiadał panu o morderstwie ktoś z moich urzędników?
— Tak!
— Od niego wie pan, że jako sprawca wchodzić może w grę Europejczyk?
— Tak!
— Chciał pan to wyzyskać dla swych politycznych celów?
— Tak!
Sl przekonał się, że Kwei nic nie wiedział i utrzymywał tylko stosunki z urzędnikami sędziego, stosunki natury politycznej. Te go teraz nie obchodziły. Wsadził kryształ do kieszeni i prosił swego gościa na herbatę. Senny przyjął Kwei zaproszenie, jeszcze niezdolny do zrozumienia sensu tej propozycji, która oznaczała: odwiedziny skończone.

Sl, rozpocząwszy rozmowę o rzeczach zwykłych, uwolnił Kwei od przymusu swej woli, a gdy ów wrócił do pełnej świadomości, oddał swą filiżankę służącemu i zaczął wymawiać się obowiązkami swego urzędu, że musi przerwać pełną upojeń i zaszczytu wymianę zdań z duchem takim, jak pan Kwei literat. Powstał. Kwei wstał również, nie wiedząc, co się z nim dzieje, gdyż sędzia wyprowadzał go z dwornemi ceremonjami.

Gdy Kwei niesiono przez ulicę do domu, całą myśl jego opanowało jedno pytanie — Co się też to, dopieroco stało?

Nie wrócił jeszcze do równowagi i miał tylko mglistą, mętną świadomość rozmowy, prowadzonej z sędzią. Pełen trwogi i niepewności dotarł do domu.

Czuł, że zagrażają mu jakieś niebezpieczeństwa.

W ciągu kilku dni rozeszła się w cudzoziemskiej dzielnicy w kantorach europejskich za pośrednictwem Chińczyków biuralistów wieść, że w chińskiem mieście odbyła się manifestacja wroga obcokrajowcom. Poza temi wieściami sze zyły się pogłoski, jakoby manifestacje wywołane zostały przez czyny jakiegoś sadysty. Śmiano się z tego. Między dzielnicą chińską a biurami stanął mur niewidzialny, lecz tysiąckroć tak wysoki jak w północnych Chinach, zbudowany z materjału bardziej odpornego niż kamień: z obcości dusz ludzkich, które nie mogły znaleść już drogi porozumienia.

Ale wiadomości były coraz obfitsze, mnożyły się i zaczęto już w towarzystwach Szanghaju opowiadać stare historje z czasów rewolucji Taipingów i powstania bokserów. Bitwa na płaskiem bagnie zmartwychwstała znowu. Tak wiele zapomniano, mimo mauzoleum dla francuskich poległych na nowym cmentarzu i, mimo piramidy (ever victorious army) na plantach północnych przystani, pomników, które postawiono na cześći zabitych w powstaniu Taipingów z 1862 roku.

Okazało się jednak teraz, że było to tylko przysypane. Wyobraźnia odgrzebała to napowrót. Z tamtej strony muru fantazja była podniecona przez tajemnicze ciosy sztyletem i burzące krew, przeciwieństwo dwu barw skóry. Z tej zaś strony, gdzie pracowali i żyli białoskórzy, wyobraźnia przywierała do historji, wpadając przez nieznajomość dusz do dołów, które djabeł wykopał w między ludzkiemi rasami.

Bolesne i ostre naprężenie stosunków zapanowało w powietrzu między domami Europejczyków i Amerykanów w kolonji zachodniej, a kantorami na Wschodzie. Naprężenie ogarnęło siedemset tysięcy Chińczy-

ków, zamieszkałych między Europejczykami z tamtej strony miejskich murow od czasów dynastji Ming, przebiegło niby łuk elektryczny, zamknęło nieprzeniknione masy w pieczarze, która kipiała i ryczała niby djabelski kocieł, zionąc zwałami oparów, pełnych złych duchów na, dwanaście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, dla których ta ziemia cudzoziemska stała się ojczyzną. Rzadko kto z Europejczyków odważył się wyjść sam wieczorem.

W tym czasie, Ney siedział pewnego wieczoru, na dzień przed przyjęciem u pani Wilms, z kilku znajomymi w gospodzie, utrzymywanej przy ulicy Astorja przez niemieckiego rzeźnika Niemaksa. Spotykali się tam zazwyczaj o zmierzchu niemieccy kupcy przy sporym kuflu i spożywali soczyste arcytwory gospodarza, który zajmował się również masarstwem. Jadano tam także kolacje.

Niemaks podszedł do stołu i wmieszał się do wpół rozpoczętej rozmowy, prowadzonej przez gości na temat wypadków w dzielnicy chińskiej.

— Tak, sos majonezowy, rzekł Niemaks. — Synowie nieba mogą przyjść. Przygotowałem kiszki kiełbasiane! Salceson, powiadam państwu... salceson! Podamy na łodzie z warkoczem!

Ale tego wieczoru nikt nie pragnął jego dowcipów.

Jeden z panów —gdyż wszyscy usiłowali utrzymać rozmowę w tonie poważnym—rzekł, nie zwracając uwagi na wtrącanie się gospodarza, że od Chińczykow odgranicza nas to, iż mają w stosunku do wszystkiego zewnętrzną maskę uśmiechu. Gdy Europejczyk ma jakiś zamiar, wysyła, rzec można, niby ostrzeżenie wyraz swego oblicza. Ale Chińczyk dokonywa morderstwa nawet, bez zdejmowania maski uśmiechu. Niemożliwe jest rozpoznanie w tych twarzach zaczątków wzruszenia. Wszystko

tai się poza uśmiechem, a z tej samej zmarszczki wyłania się, albo obojętne wejrzenie albo piekło. Tak niespodzianie, jak katastrofa.

Panowie, obecni przy rozmowie, pracowali po całym świecie. Ktoś opowiadał o niemniej tajemniczym złośliwym charakterze wyspiarzy z południa. Byli przyjaźni, chętni aż do ostatniego, niespodzianego momentu. Ale i wówczas nie można było zauważyć, że coś działo się poza tą zasłoną, która wzrok Europejczyka dzieliła od poznania ich duszy. Naraz spadało nieszczęście.

Ktoś inny miał podobne przeżycia z Botokudami w Brazylji. Trzeci żył długo pośród perskich muzułmanów. Inny wymieniał Indje i, rozszerzając ramy rozmowy, opowiadał przygodę z fakirami, którzy posiadali zdolność suggerowania całym tłumom, nawet Europejczykom, zdarzeń pozornie nadnaturalnych.

Jakiś Szwajcar, nauczyciel w chińskiej szkole wyższej, rzekł; — Nam Europejczykom wydaje się, czasem, jakby w tych obcych rasach tkwił czar jakiś, którego my już nie posiadamy, któryśmy utracili. Może to doprawdy jest czar. Pochodzi to z głęboko zachowanego związku z przyrodą, z jakiejś, możnaby to w pewnej mierze wyjaśnić racjonalistycznie, wiedzy o siłach przyrody, w której znaczeniu i działaniu my Europejczycy już się nie wyznajemy. Słyszy się czasami dziwne historje, gdzie, bliższy jest stosunek do zwierzęcia, niźli to bywa u nas. Ney, opowiadają to specjalnie o Malajach. Musi pan coś wiedzieć o tem.

—Na pewnej plantacji, rzekł Ney, — mówię z własnego przeżycia, zdarzyła się rzecz następująca: Przyniesiono ranionego jelonka. Natychmiast jakaś malajka zgłosiła gotowość, karmienia go własnem

mlekiem. Zwierzątko ssało kobietę, tak samo, jakby ssało łanię. Wyrosło i zaczęło jeść co innego. Ale zawsze tylko z rąk malajki, która karmiła je piersią. Jeleń wyrósł i wybujały mu wspaniałe rogi. Naraz kobieta urodziła dziecko. Nosiła je z sobą w chustce, związanej na plecach, u piersi. Od tego dnia jeleń, jakby się zmienił. Był zaczepny. Pewnego dnia malajka przyniosła mu paszę i usiadła na głazie, leżącym w ogrodzeniu, aby patrzeć jak jeleń je. Przemiawiała doń i pieściła go. Nagle dziecko zaczęło krzyczeć z głodu. Kobieta rozwiązała sarong u piersi i dała niemowlęciu pić. Zaledwie ujrzał to jeleń, gdy naraz nieoczekiwanym zwrotem runął i uderzył rogami w dziecię. Dziecko umarło. Malajka wzdragała się przed dalszem stykaniem się ze zwierzęciem, nie karmiła go więcej i opuściła plantację. Wówczas jeleń zdechł. Pewnego dnia znaleziono go bez życia przy kracie a szkliste oczy patrzyły w kierunku, skąd zwykła przychodzić kobieta.

— Patrzajcie, rzekł Szwajcar, — wygląda to jakby nie było żadnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem. I pan przeżył to osobiście?

— Ney potwierdził.

— Czy słyszał pan również o czarze, jaki mają wywierać malajowie na ludzi, naprzykład gdy chcą zabić kogoś z nienawiści? Albo, gdy kobieta chce zdobyć miłość opornego mężczyzny? Przypominam sobie, że widziałem kiedyś w Pinang teatr malajski, gdzie wystawiono sztukę, której treścią było podobne zaczarowanie... — mówił dalej Szwajcar.

Coś gwałcącego umysł nie pozwoliło Neyowi na wyjawienie prawdziwych myśli. Niejasne podejrzenia przeniknęły mu duszę i dobywały z ust jego słowa wymówki, jakkolwiek wiedział o wierze

w malajskie czary, a nawet znał wymienioną przez Szwajcara sztukę. Nazywała się: — Njaj Dasima. Odpowiadał tak szorstko i niechętnie, że ktoś zauważył żartem: — Panie Ney, przygotowuje się pan do do porzucenia beztroskiego stanu kawalerstwa. Widać. to zaraz.

Ktoś sekundował. — Jeżeli pańska pożegnalna kolacja jutrzejsza, u pani Wilms, odbędzie się pod znakiem obcego humoru, to lepiej chodźmy na ulicę Kiangji do Amerykanek.

— On nie może, żartowano dalej. — Nie wolno mu tego już.

Ney nie słuchał. Przeniknął mu naraz głowę gwałtowny ból. Zęby zaszczękały nagle, dreszcz wstrząsnął całem ciałem. Malarja, nieobecna od dni kilku wróciła znowu.

Powstał, pożegnał się gwałtownie i oddalił się. Nogi miał jak połamane. Co chwila musiał stawać, aby zwalczyć dreszcze. Przypadkowo nie było w pobliżu żadnej rikszy. Tramwaj elektryczny miał przystanek. Osie jego piszczały, rozsadzając głowę Neya swym głosem. Nie miał sił wsiąść. Nie zniósłby tego pisku.

Szedł tak szybko, jak pozwalał mu stan jego, przez most ogrodowy. W oczach jego płonęła ciemność nocy czarnemi płomykami. Musiał się oprzeć i czekał na rikszę.

Stał przy pomniku Iltisa. Złamany maszt, symbolizujący katastrofę okrętu, którego załogę uczczono w ten sposób, wyrastał ponad nim w ulicę. Ney miał wrażenie, iż maszt złamie się lada chwila i zmiażdży go, lecz opanowany przez febrę nie mógł ruszyć się z miejsca.

Wreszcie nadjechała pusta riksza. Przybyła od mostu i zmierzała w stronę przystani.

— Lej! zawołał Ney. — Lej! Lej! Kulis nie słyszał i chciał przejechać. Wówczas Nej odważył się poruszyć z miejsca. Pobiegł kilka kroków w stronę kulisa. Tamten stanął. Była to riksza podwójna, w której mogły się wygodnie zmieścić dwie osoby.

Ney wsiadł z trudem. Ale zanim opadł na siedzenie, zauważył, iż z drugiej strony wsiada ktoś do małego wehikułu. Tamten usiadł obok, przechylił się i siedząco skłonił się wielokrotnie, kładąc delikatnie i ostrożnie ręce jedna na drugiej. Ney przeraził się. Dopiero po chwili poznał zwarjowanego uczonego Danga. Najchętniej byłby wyskoczył w biegu z pojazdu. Lecz niewidzialne więzy przykuwały go do siedzenia. Febra w żyłach jego nie była już gorąca i paląca, była zimna i ciężka jak ołów.

Kulis chciał biec pędem.

— Mój kochany sługo, jednak rzekł Dang po chińsku, — jedź powoli. Chcemy przyjrzeć się czemuś i porozmawiać, ten cudzoziemski, szlachetny kupiec i ja. Jedź powoli.

Ney martwo patrzył przed siebie. Huang Po migotała cieniami parowców i świetlnemi punktami luków okrętowych Ney nic nie widział. Spojrzenia jego ginęły w pustce. Był znużony i bezoporny, wydany na łup silnego ataku malarji.

Wówczas zaczął warjat: — Chciał pan opuścić rikszę, gdy ja wsiadłem. Został pan. To dobrze. Znaczy to, że mi pan ufa. Pan wierzy we mnie. W zasadzie byłoby to naturalne. Jestem pańskim powiernikiem. Ale dla tych białoskórych narodów barbarzyńskich niema nic naturalnego. Wyszedł pan ze mną w nocy.

Czy wie pan jesze o tem. Jak wyjąłem z pańskiej szuflady... chi... chi... chi... mały, bronzowy skarb

i... chi... chi... chi... tak, dlaczego musiałem go wtłoczyć w dłoń pańską? Było to przed trzema dniami. W nocy pod murem Jamenu Taotai. Trup miał tym razem ranę w plecach. Źródło wytrysnęło z powłoki i spłynęło do pierwszych niebiańskich błoni. Czy nie odczuł pan, jakie upojenie niewypowiedzianej słodyczy tkwi w płonącej krwi? Nieuchwytność tęsknot naszych do doskonałości płynie po czerwonem morzu ku wybrzeżom eleuzyjskich pól. Następnego wieczoru był pan znowu przy murach pałacu. Ogarnęła pana tęsknota ujrzenia znów Nienazwanego, tam, gdzie straciło ono swój cielesny obraz i stało się duchem, duchem, do którego zdaniem mędrców powrócimy wszyscy.

Ney słuchał z szeroko otwartemi oczami. Riksza zjeżdżała ku przystani i zbliżała się do Wampukai. Słowa warjata układały się w głowie Neya w płynne, porwane jak cienie obrazy. Gonił je. Pierś pożerało mu zwątpienie i przerażenie.

Serce modliło się, aby te obce, szalone, straszliwe usta zechciały zamilknąć.

Drgała mu w członkach żądza, schwytania palcami gardła ukrytego pod bujną brodą i ściśnięcia, aby zniknęły te wszystkie piekielne słowa. Patrzył z ukosa na warjata czychając, złem spojrzeniem, pełnem męczarni i mroku.

Tamten zaś mówił dalej. Mówił teraz szeptem, lecz z gwałtowną natarczywością:

— Dzieło posuwa się dalej. Od szczęśliwości następnego bytu dzieli nas tylko krew.

Pan jest, mój przyjacielu, we krwi. Słuchaj, na murach Szanghaju czeka ktoś. Powiem panu jak wygląda, aby się pan nie pomylił. Niech pan podniesie oczy ku temu parowcowi tam i pośle je

w ślad za dymem, który wznosi tam w niebo i czarniejszy niż noc leży między gwiazdami.

Ney, patrząc na obłąkanego wyczekująco i ze złością, opanowany przez pokusę wyszukania miejsca na jego gardle, gdzie dałoby się wpić palce dla zagłuszenia tego siejącego przerażenie głosu, — schwytał się naraz na tęsknocie zbrodniczej, ogarniającej swoje myśli i spojrzenia.

Wówczas wola jego podkopana przez febrę złamała się; zalały mu mózg strzępy wspomnień z ulicy Czerwonej Gwiazdy, człowiek, leżący na ziemi, tajemnicze zjawienie się malajskiego sztyletu w kieszeni i okrwawione członki przy nim na murawie, chaos ciemności, dręczących wizyj, niepewności, którego nie mógł ująć rozumem. Błyskawiczną, małą i gasnącą iskrą świadomości poczuł, że popadł w czar krwi Meli, że był zgubiony i jak bezwolne zwierzę pędził pośród ludzi, skazany bez winy.

Febryczne oczy Neya śledziły chudą rękę warjata, który podniósł powolnym, natarczywym gestem swe długie paznokcie nad rzeką. Pośrodku rzeki zarzucił kotwicę jakiś parowiec, wyglądający znacznie potężniej, niż inne okręty, które się tu zatrzymywały. Z komina buchała dziko masa czarnego dymu i początkowo kłębiła się w górze. Później rozpływała się i tam też wskazywała ręka: widać tam było obraz wielkiego mężczyzny, leżącego na grzbiecie, ze zwisającą głową, jakby przez kant ławy w palarni, bez życia. Miał on na głowie śpiczasty kapelusz, jeden z tych, które wyszły z mody od czasów rewolucji, a które dawniej noszono powszechnie.

— Oto nowy przyjaciel, któremu pomoże się w osiągnięciu przyszłego życia; stoimy nad wypły-

wającem morzem krwi i drżymy w upojeniu łaski, szeptał Dang gorąco tuż przy uchu Neya.

Obraz w chmurze dymu stał się pod wpływem ponurych i zachęcających słów Danga tak straszliwy, że Ney, pobudzony do ostateczności stracił wszelkie poczucie rzeczywistości, czuł, że spada w prąd czarnej, płonącej krwi. Chciał bronić się resztkami siły nerwowej. Wymruknął:— Straszydło, strach, szaleństwo .. tylko szaleństwo. . złudy wyobraźni.

Profesor, wzniósłszy obie ręce z obliczoną ostrożnością, rzekł spokojnie: — Mój wielki uczeń może być spokojny. Sztylet czeka na niego. Posiada on cztery kanty, niby róża wiatrów niebieskich, aby spełnić swe dzieło według czterech kardynalnych punktów. Ulica Czerwonej Gwiazdy leżała na Zachodzie, mury Jamenu Taotai leżały na Wschodzie, Dziś w nocy wypadają mury miasta na północy. Oto, uczony adepcie, bierz!

Naraz ręka z długiemi paznokciami wyciągnęła do Neya sztylet malajski, który ukrył owej nocy, znalazłszy go obok siebie na trawie, w poszyciu klubowego fotela. Krótkim, szalonym głosem Ney krzyknął. Odchodząc całkiem od zmysłów, z sercem i nerwami szarpanemi przerażeniem i ohydą, z wrzącemi febrą członkami zerwał się i wyskoczył z rikszy. Biegł, jak warjat, wydając krótkie, urywane dźwięki, przez Wampukai w górę i dalej. Zdawało mu się, że pchnęła go na tę drogę jakaś olbrzymia pięść duchowa, prowadząc go w palące głębie i parne mgły.

* *
*

Gdy Ney przybył do domu późną nocą, Mela siedziała na podłodze w jego gabinecie. Upadł

w krzesło i był tak zmęczony, jakby uniknął śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakby ciało wyczerpał przeżyty wysiłek.

Mela wstała, gdy wszedł, i jak to zawsze czyniła na Sumatrze po jego późnym powrocie z wycieczek lub wizyt, przyniosła mu kawę. Stała przy nim i trzymała poddańczo spodek dopóki nie wypił i była niewolnicą. Ney przyjął jej usługi bez protestu. Tak, potężne i tajne poczucie wspólnego związku łączyło go z nią, poczucie, przeciw któremu nie czynił nic i któremu pozwalał się opanować.

Gdy wypił, odniosła naczynie, wróciła i usiadła na podkulonych nogach w kącie pokoju. Ney wpadł w półsen. Przez chwilę panowała w pokoju takie milczenie że słychaćbyło oddech ciszy nocnej. Oddychała ona tajemniczemi płucami z wirującym szelestem, snując sieć dokoła wszystkiego, co było stworzeniem, wciągając wszechświat do małego pokoju.

Ney wsłuchiwał się w milczące wibrowanie szmerów. Zdało się mu, jakby czekało tam na niego coś, co przystąpi do niego na dworze. Czy spał? Czy też czuwał? Nie mógł określić tego na pewno. Miał wrażenie, że otoczony i przeniknięty febrycznym żarem żyje innem życiem. Szum stawał się coraz wyraźniejszy i cięższy. Aż naraz wydało się Neyowi, że łączy się z nim głos Meli.

Mówiła śpiewnym tonem: — Czy Tuan wie już, czego czar krwi malajskiej może dokonać?

Ney musiał jej odpowiedzieć, gdyż wkrótce mówiła dalej: — Nienawiść i miłość leżą w sobie, jak życie i śmierć!

— Nie wiem o tem — rzekł Ney.

— Żadne z nich niema wobec drugiego granic. Gdy leży się na ziemi lasu w Sumatrze, wie się to. Mogę dać Tuanowi do ręki życie, które on w śmierć zmieni. To stanowi jedno. Ale wówczas będę w kręgu Tuana, gdy weźmie on życie z mej ręki, a wyda na miejsce tego na świat śmierć. Będzie oddychał potem siłą mej krwi, która jest krwią wszystkiego, co istnieje.

— Nie rozumiem tego — zauważył Ney w zamroczeniu. — Lecz ty jesteś dziewczyną malajską z lasu. Ty wiesz to.

— W głębi ziemi jest jezioro — mówiła dalej Mela jednostajnie. — W jeziorze znajduje się krew, dająca życie wszystkim ludziom, aż do chwili, gdy śmierć ją z powrotem odniesie. Ludzie więc są jednem i tem samem, gdyż krew ich pochodzi z tego samego zbiornika, w którym się miesza...

Naraz Neyowi wydało się, jakby już raz przeżył tę chwilę i tę rozmowę. Ale nie mógł dociec, gdzie, jak i kiedy to być mogło. Czy może sam wyszedł z tego morza krwi w sercu ziemi, a krew jego w innych żyłach przeżyła to i słyszała?

Mela stała się fantomem, który we śnie ciążył na nim.

— Daj mi spokój, Mela — błagał.

— Nie, Tuanie! — śpiewała. — Nie opuszczę cię więcej. Krąg między mną a tobą nie może już być nigdy rozerwany. — Ruchami o zmysłowym, ledwie dostrzegalnym tanecznym rytmie posunęła się do fotela i schyliła się do dywanu. Podniosła się zwolna z malajskim sztyletem w ręku. Niby kwiat, unoszony przez rzekę, spłynęła do biurka i położyła sztylet z powrotem na dawne miejsce. Wyglądało to, jakby sztylet odbył podróż, a teraz wrócił do domu.

Ney widział to z fotela, leżąc bez życia i nie pojął z początku. Potem uświadomił sobie, że w napadzie szaleństwa schował raz sztylet pod krzesło. Chciał krzyczeć. Ale głos mu zasechł. Krtań była pusta, jak pęcherz. Zaczął biegać. Naraz spadł, jakby z powietrza.

Stał przed fotelem, okryty lodowatym potem, nagle zupełnie otrzeźwiony. Nie ujrzał już w pokoju Meli. Lecz musiała być tutaj, gdyż pokój o zamkniętych oknach zachował zapach jej ciała, woń świeżo łupanych wici i otwartych, słodko kwaśnych owoców. Włożył termometr do ust i wyczytał 37,5. Febra przeszła. Ogarnęła go lękliwa tęsknota i bolesna trwoga o Lilit.

— Jutro zrobię koniec i uwolnię się od Meli, gdybym ją miał nawet odesłać na Sumatrę w pace! — rzekł głośno na cały pokój.

---

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Dom Weteranów, Miła
1 V 65
gr.


U.S. MAIL

## IF THIS SCARES YOU— CALL US QUICK!



There are plenty of practical reasons for sending your laundry to us. But if superstitions scare you, perhaps these quaint notions will give you such a case of the jitters that you'll turn those dirty clothes over to us just to play it safe! (We doubt, actually, if you'll take these old superstitions at all seriously, but they are amusing, anyway.)

Long ago in Suffolk it was forbidden to wash clothes " man starts on a journey", for fear of washing him away. The would not dream of washing during Easter week.

Russian folk let the dirty linen pile up during Whitsun s treacherous water-nymphs were supposed to be lurking an trees at this time. They'd beg the women for linen to w lined up at the river bank—their "laundry". Smart Russian sure the nymphs would make off with their clothes, so th fairies by hanging bits of rags on the trees. Then the up at home till the season was over.

Even if none of these weird ideas worries you, you'l your laundry problem over to us lightens your work load

## DON'T BLAME YOURSELF!

If you have dry cleaned at home and have been less than don't blame yourself. Even if you have been very careful, yo able to remove spots from your garments. The overall appear but fresh and crisp. Pressing problems may have gotten yo fault! Modern dry cleaning is a highly specialized process, requ ment that simply can't be duplicated at home.

Too bad to work so hard and be disappointed—but you're your only problem. The serious side of home dry cleaning inv unsatisfactory results. There's a real hazard, you know. Flamm can be as dangerous as dynamite, even with careful handling. N tions can cause trouble, for under some very ordinary conditions harmful.

Ours is a service business, and we regard it as a public s friends not to attempt at home a process that is far better and m